



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50. na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabińej Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. (Dalszy ciąg). — Karolina Brontë (Currel bell). Jéj życie i pisma (Dokończenie) — Korespondencja z Paryża. — Pogadanka tygodniowa. — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg). — O Ubiorach.

Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Raz patrząc na nią z dziwną siłą, zapragnąłem aby na mnie spojrzała, a przemówić do niej nie chciałem bo wzbraniała mi tego obrażona miłość własna i po za nią cicho odzywała się szlachetniejsza obawa, sprawienia przykrości i tak już błędnej i smutnej dziewczynie. Zdobyłem się tedy na pomysł godny piętnastoletniego ucznia, przemysłającego nad sposobem wypłatania figla profesorowi.

O ścianę oparta stała ciężka deska, udając że chce ją dalej posunąć popchnąłem ją tak silnie, że z wielkim stukiem upadła na podłogę. O, gdyby to widzieć mogła siostra moja Kasia, jakżeby się śmiała ze swego poważnego brata, który u niej na nazwę męża stanu i filozofa Seneki zasłużył, a który teraz wywracał deski, chcąc zwrócić na siebie oczy jakiejs wiejskiej dziewczyny!

Wybieg mój dopiął zamierzonego celu, na odgłos stuktu, Ulana drgnęła lekko, podniosła oczy i spojrzała — ale nie na mnie, lecz na deskę, a widząc ją leżącą już spokojnie na podłodze, znowu zajęła się pilnie swoją pracą, ani troszcząc się o to kto był sprawcą tego całego hałasu. Zdjęła mnie głucha niecierpliwość, poczułem silne uderzenia wszystkich pulsów i żywo przystąpiłem do dziewczyny.

— Ulano!.. rzekłem stłumionym głosem, czując że mi twarz pała.

Ustyszawszy głos mój tuż przy sobie drgnęła silniej daleko, niż na sztuk upadającej deski, podniosła na mnie oczy, opuściła ręce i spytała.

— Czego chcecie paniczku?

Przez chwilę nie byłem w stanie przemówić, dziewczyna patrzyła na mnie swymi przezroczystymi, lekko zaniepokojonemi oczami.

— Ulano! czy ty nie widzisz że ja tu jestem? — rzekłem w końcu, czując sam niewyraźnie, że mówię niedorzeczność.

Zdziwienie odmalowało się w oczach dziewczyny, na twarz jej i czoło powoli, stopniowo karminowy wstępował odcień.

— Alboż co paniczku? spytała z cicha.

— Ja chcę Ulano żebyś ty mnie widziała, jak jestem przy tobie, rzekłem łagodniejszym już ale drżącym jeszcze głosem:

— Chyba wy paniczku, nie chcecie, żebym ja dobrze robiła, co do mnie należy, jeżeli żądacie odemnie, abym się oglądała i patrzyła na was, odpowiedziała powoli, lekko wzruszając ramionami.

Chociaż byłem w stanie silnego wzburzenia poczułem całą słusność i rozsądek tej prostej odpowiedzi; ale zamiast ochłodzić mnie i wytrzeźwić, doprowadziła mnie ona do rodzaju egzasperacji.

Jakiś ciemny, grzeszny instynkt, zagrał we mnie, ogarnęła mnie chęć udrczenia tej dziewczyny, żeby choć przez to poczuła obecność moją przy niej.

— Alboż ty myślisz że robota twoja dobra! — rzekłem gniewnie, a zwracając się do jednego z oficjalistów, który właśnie w tej chwili ukazał się na progu sali zawołałem:

— Panie Chwacki! pilnuj no proszę tej dziewczyny! Uważam że pracuje źle i mało!

Obecne kobiety podniosły głowy i spojrzały na mnie ze zdziwieniem, bo Ulana miała u nich opinią zdolnej i pracowitej dziewczyny. P. Chwacki nawet otworzył wielkie oczy i zbliżając się ku mnie zaczął mówić:

— Zdawało mi się, proszę pana, — że...

— Wypełnij pan moje polecenie! rzekłem ostro nie dając mu dokończyć; dopilnuj roboty Ulany, a jeżeli się nie poprawi, powiedz panu pod-dyrektorowi odemnie, aby jéj zmniejszył dzienną opłatę!..

Rzekłszy to szybko, opuściłem salę wprzód jednak rzuciwszy przelotne spojrzenie na Ulana. Stała z pochyloną głową i spuszczonej oczami — ręce opuściła bezwładnie a na twarzy jej zalanéj rumieńcem wstyd, malował się cichy — głęboki żal.

Wieczór przepędziłem okropny, czułem się niesprawiedliwym, okrutnym, niedorzecznym, po raz pierwszy w życiu czułem się występny. Kilka godzin przesiedziałem z rękami opartymi na stole, z twarzą ukrytą w dłoniach, ze wstydem patrząc w samego siebie i badając swoje uczucia, ale tak niespodziane były one dla mnie tak nowe i obce dotąd, żem ich zrozumieć nie mógł. W końcu zimna rozważa przemogła, postanowiłem być nadal rozsądniejszym, więcej panować nad sobą i nie dawać wodzy temu, jak nazywałem pociąg mój dla Ulany, sielankowemu usposobieniu.

Po zawarciu takiej solennej z samym sobą umowy, poczułem się spokojniejszym i wziąłem do ręki książkę, ale zaledwie ją otworzyłem, na białych kartach, zamiast liter, zamigotały przedemną łzą błysz-

czące oczy Ulany, patrzyły na mnie z każdego wyrazu, wyglądały z pomiędzy wierszy i pełne cichego wyrzutu zdawały się skarżyć na dołę sierocą i krzywdę świeżo doznana. Odrzuciłem książkę i zdmuchnąłem świecę... przedemną... w ciemności świeciła znowu ta sama para ciemnych oczów, patrząc na mnie to z żalem, to z tym głębokim wyrazem dobroci i czułości, który uderzył mnie w spojrzeniu Ulany, gdy po raz pierwszy widział ją patrzącą, w twarz cierpiącej przyjaciółki. Wielkie, ciemne oczy unosiły się w koło mnie i nademną, zapelniały ciemny pokój mnożąc się w pary nieprzeliczone, gdy zamknąłem oczy, wciskały się mi pod powieki a gdy zapaliłem znowu świecę i otworzyłem książkę, zasłoniły przedemną litery.

Rozgorączkowany porwałem się z miejsca i zawołałem wewnętrznym.

— Cóż znowu! przecieć ją nie zabiłem i w końcu nie tak bardzo złego jéj się nie stało!

Ale na tę nieśmiałą pociechę, jaką podać mi chciała rozważa, sumienie odpowiadało.

— Skrzywdziłeś ją! skrzywdziłeś! po raz pierwszy w życiu dopuściłeś się niskiego czynu i to względem biednej dziewczyny, bezbronnej, sieroty!

I jaż to uczyniłem, myślałem dalej, ja, tak ufny w siłę mojej woli w panowanie mego rozumu nad innymi władzami mojej istoty? ja, który niedawno jeszcze byłem pewny, że nigdy nie uczynię nic czego by chłodna rozważa i surowe nie zatwierdziło sumienie? O, głupia pycho człowieka, pycho młodzieńcza, nie znająca jakie głębokie śpiących jeszcze instynktów i namiętności, kryją się w piersi o której sądzisz iż jest nieprzenikliwym pancerzem odziane! Przypomniałem sobie, że zawsze z uśmiechem szyderstwa myślałem o wszelkich uniesieniach — o wszelkiej poezji serca, że litowałem się nad ludźmi, którzy im podlegają, sądząc że sam zdołam na zawsze zamknąć moje czynniki wewnętrzne, w ściśle zakreślone ramki matematycznego kwadratu i życie moje potrafię poprowadzić tak prosto i bez żadnego zboczenia jak umiałem, cyrklem geometry, linią bez wady narysować na papierze.

Teraz zamiast litować się nad innymi, szyderczo uśmiechałem się z siebie samego. Gdzież był ten człowiek twardy, systematyczny, niewzruszenie stojący na podstawie ukuty z żelaza chłodnego rozumu, za jakiego się miałem?

Po raz pierwszy w życiu przez głowę moją przemknęła myśl gorzka, że wszyscy na miękkim osuwającym się pod stopami naszymi piasku, stawiamy budowy nasze — że sami jesteście tylko... budowy z piasku. Po raz pierwszy przypuściłem na chwilę,

że wszystkie owe twarde niby zasady i pojęcia moje nie były granitem a miękkim, miękkim piaskiem!

— Więc cóż na ziemi jest opoką? myślałem i z tem niespokojnem, nierozwiązanem pytaniem usnąłem nad rankiem, w śnie jeszcze widząc przed sobą smutną twarz skrzywdzonej sieroty.

Nazajutrz przed południem znalazłem się już w sali robotnic. Czynność tam małą była dnia tego i tylko trzy kobiety znalazłem zatrudnione przy maszynach, były to Maryjka, Katryna i Ulana. Przy drzwiach samych stała Maryjka, wchodząc spotkałem się z jej spojrzeniem w którym był i gniew i żal. Spuściła wnet oczy gdy zobaczyła, że na nią patrzę, ale na jej rumianej wesołej twarzy, widoczny był smutek i lekkie nadęsanie.

Przeniosłem wzrok na Ulana. Stała ona przy swej pracy spokojna jak zwykle, tylko twarz miała jeszcze bledszą, a czarne włosy wymykające się z pod opaski spadały na jej czoło w niezwyklej nieładzie.

Ale ze spokojnej postawy i łagodnego wyrazu twarzy nie podobna byłoby odgadnąć, że ona to właśnie niesprawiedliwie i ostro połączoną wczoraj została. Machinalnie spojrzała na mnie gdy wchodziłem, ale teraz ja spuściłem przed nią oczy, choć we wzroku jej nie wyczytałem, ani wyrzutu ani urazy. Wynałazłszy pretekst jakiś wystąpiłem z sali Katrynę i sam zbliżyłem się do Ulany. Maryjka pracując zdala nie mogła słyszeć rozmowy naszej.

— Ulano, rzekłem podchodząc do dziewczyny, czy ty się bardzo na mnie gniewasz?

Drgnęła na dźwięk mego głosu, ale nie podnosiła oczu i nie odpowiadała przez chwilę.

— Ulano, powtórzyłem, wiem żeś postąpił z tobą niesprawiedliwie. Pracujesz pilnie i robisz wszystko co do ciebie należy dobrze, lepiej nawet od innych. Łajac cię więc wczoraj, wyrządziłem ci krzywdę i przykro mi to bardzo. Powiedz czy się bardzo na mnie gniewasz?

Tym razem Ulana patrzyła na mnie śmiało i długo, a w oczach jej które w tej chwili wydawały się bardzo czarne, migotały złotawe światelka. Usta jej drżały, otwierała je kilka razy nie mogąc słowa wymówić — w końcu pierś jej podniosła się wysoko, energicznym gestem spłótła obie ręce a szybkim ruchem podnosząc je i przyciskając do piersi, rzekła z niezwyklej sobie siłą.

— Na was paniczu — jabym za nic — za nic gniewać się nie mogła!..

— To ty Ulano lubisz mnie choć trochę? — spytałem z cicha.

Dziewczyna patrzyła na mnie ciągle błyszczącem spojrzeniem, ale zamiast odpowiedzi spytała wzajemnie.

— Czy wy macie siostry paniczu?

— Mam dwie, odrzekłem, — tak samo piękne i dobre jak ty Ulano.

— Kiedy macie siostry paniczu i jeżeli one wam miłe to nie pytajcie nigdy czy ja was lubię, wyrzekła powoli.

— Ulano, odpowiedziałem zdziwiony, jakież związek mają siostry moje z mojem pytaniem?

Dziewczyna milczała przez chwilę w końcu odpowiedziała zwolna jakby z namysłem.

— Wy mówicie paniczu że siostry wasze piękne są i dobre, i mnie samą zdaje się, że tak być musi — ale wszak one nie królowny. Otóż żeby naprzykład do której z nich przyszedł królewic i spytał się: czy ona jego lubi? coby wasza siostra odpowiedziała królewiczowi?

Uśmiechnąłem się.

— Jeżeliby lubiła królewicza toby mu powiedziała prawdę, odrzekłem.

— Oj nie, nie, zaprzeczyła Ulana kiwając głową, oj nie powiedziałaaby jemu że jego lubi!

— A dla czego? pytałem, bo dziwiła mnie i zachwycała razem naiwna mowa dziewczyny.

— Bo dla królewicza trzeba lubienia królowny, odpowiedziała Ulana i odwróciła twarz, na której w czasie rozmowy karminowy wypłynął rumieniec.

Wiedziałam ona sama ta nieoświecona wiejska dziewczyna, że naiwnymi słowami godziła w tej chwili wielką prawdę społeczną, o potrzebie jednostajności pojęć i celów między ludźmi, chcącymi jakiegokolwiek sympatyczne związki zawierać z sobą?.. Czuję że w odpowiedziach jej była zawsze słuszność i zdrowy rozsądek i z uśmiechem pomyślałem, że ja człowiek nauki i cywilizacji, uczeń jednego z pierwszych w świecie uniwersytetów, stałem tu biorąc lekcję logiki od prostej wyrobnicy. A ona wzięła się znowu do swojej roboty, rumieniec zniknął

z jej twarzy — była bardzo — bardzo blada i usta jej drżały prawie niepostrzeżenie.

(d. c. n.)

KAROLINA BRONTĚ

(CURREL BELL).

Jej życie i pisma.

(Dokończenie.)

Wszystko ich dziwiło, wszystko im się tak nowem zdawało: opera gdzie piękni gentlemen'owie lornetowali z pewnym pogardliwym uśmiechem, te skromnie ubrane prowincjonalne postacie, niedomyślające się nawet że mają przed oczami autorkę, o której imię w tej chwili napróżno cała dopytywała się Anglija; zieloność i pyszne drzewa Keasington-Garden; sposób wymawiania mieszkańców południa, który ich dziwił swoją słodyczą i różnorodnością intonacji. Wchodząc do loży w operze Karolina olśniona światłem, ścisnęła mimowolnie za rękę towarzyszącego jej mężczyzny, spostrzegłszy się, tłumacząc rzekła, przepraszam, ale widzisz pan, ja do tego wszystkiego przyzwyczajoną niejestem.

„Zawsze równie nie śmiała, nieobyte ze światem w towarzystwie nawet trzymały się na ustroniu, wszyscy prawie, którzy podczas tego pierwszego pobytu w Londynie poznali panny Brown (nowo przybrany przez nie pseudonim) wzięli je za nieśmiałe skromne, i niewiele co do powiedzenia mające wieśniaczki. Wróciwszy do Haworth, znalazły wszystko po dawnemu, tylko koniec Bramwella zdawał się zbliżać. W liście pisanym po powrocie z Londynu Karolina pisze: Bramwell nie poprawił się, siły jego zdają się być wyczerpane. Ojciec i my wszystkie, smutne przepędzamy noce. „List ten pisany był 25 Lipca 1848 r. zaledwie dwa miesiące minęło Bramwell żył przestał. Od dawna Karolina nosiła w sercu żalobę po swoim bożyszczu, i gotowała się przyjąć mężnie cios ostatni, lecz kiedy przyszła straszna chwila, dawne przywiązanie z nową odezwalo się mocą, i ujrzała ze zdziwieniem, że ją siły opuszczają. — Brat mój, wyraża się w liście, znajduje się w ręku Boga, a Wszechmocny jest zarazem najmiłosierniejszym Panem. Myśl że spoczął na zawsze po swoim krótkim, pełnem błędów, cierpień i gorączkowych uniesień życiu, uspakaja mnie niezmiernie. Ostatnie pożegnanie, widok jego bladego trupa, zrobił na mnie nierównie więcej wrażenia, aniżeli przypuszczać mogłam. W tej chwili zapomnieliśmy o wszystkich jego wadach, pamiętamy tylko jego nieszczęście.“ Zbliżenie się śmierci jakiś błogi wpływ zdawało się wywierać na duszę Bramwella; w jego biednym, na popiół spalonym sercu, zatliła się jeszcze jakaś iskra, dawniej dla rodziny miłości. Pragnął byłby w ostatnich chwilach, odpokutować, za wszystkie boleści i cierpienia których był sprawcą. On który posiadał tak mało odwagi i woli, wierzył zawsze, że dopóki w człowieku tli jedna iskra życia duch w nim nad ciałem panować powinien. Wierny tej teorii postanowił umrzeć i umarł stojący.

Bramwell nieostygł jeszcze w grobie, kiedy jego rodzina, obawiać się zaczęła o zdrowie i życie Emilii. „Kaszel Emilii jest niesłychanie uparty, pisze Karolina, w oczach nam chudnie i blednie. Zamknięty w sobie charakter, wiele mi sprawia udręczeń. Napróżno jej się pytać, gdyż nigdy nie odpowie. Nie chce również żadnych przyjmować lekarstw. Lecz nie tu koniec mojej boleści. Niepodobna mi zamknąć oczów na delikatne zdrowie i wątłą budowę Anny. Emilja pozostała dziką i niezawisłą aż do końca. Cierpienia jej były straszne, lecz cierpiała z zaciśniętymi ustami, nie żądając współczucia, owszem oburzając się na tych, którzy jej litość okazywać chcieli. Umarła niewidziawszy lekarza.

W ostatnich dniach jej życia, Karolina dowiodła niewyczerpanej dobroci serca, Emilja niezwyklej mocy ducha. Karolina schodziła całe zarośla, ażeby na wędniejących już krzakach znaleźć choć kilka tych dzikich kwiatów, niegdyś tak ukochanych przez siostrę. Mimo tego Emilja patrzyła z obojętnością na przyniesione kwiaty, co było najwyraźniejszą oznaką zbliżającej się śmierci; lecz jeżeli dusza z obojętnością dla ulubionych niegdyś przez siebie przedmiotów, nie z dawniej nie straciła energii. W dzień śmierci Emilja wstała, ubrała się bez po-

mocy, wzięła robotę, i szyć zaczęła, w obec siostr które nie śmiały czynić jej uwag. Po południu ten duch silny, słabe opuścił już ciało. Można powiedzieć że Emilja podobnie jak Bramwell umarła stojąca.

Karolina zawiadomiła swoje przyjaciółki o śmierci Emilii, listem z 21 Grudnia 1848 r. „Emilja wiec na tym świecie cierpieć już nie będzie: umarła po krótkim ale strasznym konaniu. Umarła we wtorek. W dniu w którym ostatni raz do was pisałam, mieliśmy nadzieję że z nami jeszcze jakie kilka tygodni pozostanie; po kilku godzinach wrota wieczności otwarły się dla niej... Obecnie jesteśmy spokojni. Bo i dla czegoż opłakiwać byśmy ją mieli? Czujemy że po tylu trudach, spoczywa na koniec. Niema się czego dla niej lękać zimna i chłodu, Emilja nie czuje więc... W tej chwili patrzę na Annę. Pragnęłabym ją widzieć zdrową i silną: niestety nie jest ona ani silną, ani zdrową“ 10 Stycznia 1849 r. pisze: „Anna przebyła wczoraj noc spokojniejszą, choć spała nie dobrze. Pragnęłabym mieć nadzieję: lecz na niebie zbierają się chmury, wiatr i burza. „Kolej Anny przyszła. Śmierć znalazła w niej cierpliwą i zrezygnowaną ofiarę, i jakby pastwiąc się nad nią, powoli konać jej kazała. Konsumpcja długo trwała. Szereg ciemnych, smutnych dni, rozpoczął się dla Karoliny. Dnie przechodzą ponuro i powoli, noce są probierczym kamieniem mojej odwagi. Budzę się nagle, ze snu gorączkowego. Myśl, że jedna leży w grobie, a druga na łożu boleści, przynosi mi do ziemi... Wszakże nie jest to chwila do żalu, obawy i płaczu.

Upływały miesiące, a w listach Karoliny, napotykałyśmy ciągle te jednostajne i smutne wrażenia, upadała ona sama pod ciężarem cierpień, do których dzień każdy nową boleść dodawał.

Oswajam się coraz bardziej z myślą że to co ma się stać, stać się musi. Lecz myśl ta jest smutnym i strasznym gościem... Mam nadzieję że Bóg da mi tyle sił, ile ich potrzeba będzie, do zniesienia tego nowego ciosu; moje położenie jest tak okropnem, że samo przyzwyczajenie ulgi przynieść nie może. Samotność i odosobnienie w jakim się znajduję, położenie to okropniejszem jeszcze czyni, nie pragnę przecież odwiedzin nikogo z moich przyjaciół; zmuszając was niejako do dzielenia mojej boleści, tem samem, nowych przyczyniła bym sobie udręczeń... Dziś kiedy moc mojej duszy, tak silnie zachwiana została, poznaję dopiero jak słabą jest ludzka natura.

„Jednakże Karolina miała smutną pociechę: Anna przyjmowała wszelkie oznaki współczucia, nieukrywała swoich cierpień jak Emilja, i płacząc razem pocieszały się wzajemnie.

Z powrotem wiosny Anna pragnęła udać się do Scarborough, miasta dobrze znanego chorym Anglikom; siostry pojechały w towarzystwie dawniej przyjaciółki i zwykłej korespondentki Karoliny. Dzień 24 Maja 1849 r. był dniem wyjazdu, dzień 28 dniem oddawna przewidzianej śmierci. Skon jej nosi na sobie zupełnie inny charakter, jak ostatnie chwile Emilii, choć równie silne robi wrażenie anielskim pokojem, i prawdziwie chrześcijańskim zdaniem się na wolę Bożą.“

„O siódmej godzinie rano, pisze mistress Gaskell Anna wstała i ubrała się prawie sama tak jak sobie tego życzyła. Siostra ustępowała jej zawsze w tym względzie, sądząc iż prawdziwe przywiązanie nakazuje, niepokazywać iż się widzi upadek sił fizycznych na które chory się nie skarży. O jedenastej, zaczęła narzekać iż czuje w sobie dziwną jakąś zmianę, która zdaje się zapowiadać bliski koniec. Czy będzie jeszcze dosyć czasu wrócić do domu, gdyby w tej chwili wyjechała? Posłano po doktora, mówiła do niego z zupełną spokojnością, ażeby jej powiedział jak długo jeszcze żyć może, i zapewniając że niepowinien się lękać powiedzieć prawdy gdyż ona nie lęka się umrzeć. Doktor wyznał pomimo woli że śmierć jest bliska. Podziękowała mu za to... Złożyła ręce i zaczęła się nabożnie modlić, prosząc Boga napróżd o błogosławieństwo dla ojca i siostry następnie dla towarzyszącej im przyjaciółki, do której rzekła: „Bądź siostrą Karolinie“ Potem złożyła jedną i drugą za troskliwość i przywiązanie. Upadek sił coraz był widoczniejszy. Przeniesiono ją na sofę, a gdy siostra pytała jej, czy się ma lepiej, spojrzała na nią z wdzięcznością i odrzekła.

Nie wy to już możecie mi dać pokój, lecz mam nadzieję zakosztować go w krótko na łonie mego Zbawiciela.

Nieco później widząc że siostra niemoże wstrzymać wybuchu boleści.

„Odważy Karolino, odważy!” zawołała. Wiara nie opuściła ją ani na chwilę, i oko niezaciemniało się do drugiej godziny po południu, o której bez westchnienia przeszła z tego świata do wieczności. W tym to spokoju religijnym, słynęły ostatnie jej godziny. Niepotrzebowała żadnej pomocy, przez chwilę nawet nieznana trwogi. Doktor wychodził i wracał kilkakrotnie. Gospodyni wiedziała o bliskiej śmierci Karoliny, ale obecność umierającej i objawy żalu osób do niej przynależnych, tak dalece nie zakłóciły, zwykłej spokojności tego domu, iż przez drzwi na pół otwarte, zapowiedziano obiad, wtedy właśnie kiedy Karolina zamykała oczy swojej siostry.

Taki ogrom boleści mógł złamać duszę Karoliny. Przyszłość nieuśmiechała się też do niej. Jakże ponurą i milczącą zostanie teraz plebanija, przez którą nie tylko zamieszkała. Lecz mimo tego że śmierć tyle już ofiar zabrała, choroba nie opuściła Hawort. Pan Brontë wyleczony na oczy, zapadł na słabość piersiową. Sama Karolina czuła się już cierpiącą. Z nową wszakże odwagą gotowała się do walki, pełna zwycięstwa. Nie możemy się wstrzymać od przytoczenia cudownego listu, napisanego w miesiąc po śmierci ostatniej siostry.

„14 lipca 1849 roku.” Nie lubię dużo mówić o sobie, i tą razą podobno lepiej bym zrobiła, zostawiając na boku moją osobę, żeby cię zajął ciekawszem. Lecz chcesz inaczej niechże się stanie twoja wola. Katar którego nie wiem, gdzie i kiedy się nabawiłam, nie ustał dotąd. Zaczął się w głowie, potem przeszedł do gardła, następnie do piersi, w połączeniu z lekkim kaszlem, który wraca od czasu do czasu. Ból między łopatkami, również mnie mocno zastraszył. Niepowtarzaj tego, gdyż wyznoszę, że sama zbyt do niepokojów czuję się usposobioną. Niespokojność ta jak upiór za mną chodzi. Nieśmiem przyznać się ojcowi ile cierpię, gdyż jego boleść najwięcej by mi udręczenia przyniosła.

„Pędzę takie życie, jakiego spodziewać się mogłam. Niekiedy, zbudziwszy się rano gdy pomyślę że samotność, bolesne wspomnienia i tęsknota przez cały dzień towarzyszyć mi nieprzestaną, że nieopuszczają mnie kiedy się znowu w łóżko położę, że mi długo spać nie dadzą, że nazajutrz jeszcze się z niemi obudzę, o wtedy Nell! czuję jak serce wybiera mi od łez i mało niepęknie. Przecież niejestem jeszcze złamaną, nie, nie! jeszcze niestraciłam ani odwagi, ani nadziei. Posiadam dosyć sił, dla stoczenia walki z życiem. Czuję że Opatrzność czuwa nademną, obdarza mnie niejedną niespodziewaną pociechą, znajduję w tym ulgę, i jestem Jej wdzięczna. Tak mogę jeszcze iść naprzód: lecz proszę Boga i mam nadzieję, że ani Ty, ani nikt z osób które kocham, nieznajdą się w podobnym mojemu położeniu. Po zostaniu tu samą, w tym pustym pokoju, słuchając jak jednostajny ruch zegarowego perpendykułu, rozlega się w ciszy tego ponurego domu; widzieć oczami duszy, widzieć jak na dłoni rok ubiegły, wszystkie wzruszenia, wszystkie boleści, wszystkie poniesione straty, och! to za ciężka próba!”

Karolina nie zawsze z walki wychodziła zwycięsko. Z powodu swego nerwowego usposobienia, od dzieciństwa ulegała łatwo wrażeniom trwogi, które opisała tak cudownie w *Joannie Eyre* i *Villecie*; wizje i sny prorocze wróciły znowu. Namietnie pragnęła powiada mistress Gaskell, zobaczyć dusze swoich siostr. Na oczekiwaniu ich przyjścia schodziły noce. W dzień pełniła obowiązki siostry miłosierdzia to przy starym ojcem, to przy zgrzybiałym słudze, szczęściem wyobraźnia dostarczała jej dosyć jeszcze zasobów do walki z przeznaczeniem, gdyż wśród tych okoliczności *Shirley* rozpoczęty zaraz po śmierci Bramwella, ukończonym wreszcie został.

VI.

Wszakże następne lata, w porównaniu z ubiegłymi mogą być zaszcześliwie uważane; Karolina jawnie się cieszyła pozyskaną sławą. Zapomniano już prawie o Currer Bellu, nazwisko miss Brontë stało się znakomitem a chociaż robiła szczerze usiłowania, żeby ukryć to nazwisko, niebyła przecież całkiem obojętną, na składane jej hołdy. W chwili ogłoszenia *Shirleya* chciała jeszcze zachować przyjęty pseudonim, lecz tą razą tajemnica pokazała się niemożliwą; mieszkańcy Yorkshire poznali się w portretach odmalowanych przez miss Brontë. Jeden z dawnych mieszkańców Haworth, osiedlony obecnie w Li-

werpoolu, uderzony został szczegółami w tej powieści, i domyślił się że tylko jedna Karolina może być ich autorką. Dumny ze swego odkrycia, ogłosił go w kolumnach jednego z liwepolskich dzienników. Skoro dowiedziano się w Haworth o prawdziwym nazwisku Currer Bella, nastąpił wybuch ogólnego uniesienia. Jakte, autorka *Shirleya* która tak doskonale opisała obyczaje mieszkańców Yorkshir'u, jest córką pastora z Haworth? Było to podwójnym powodem do dumy dla tych poczciwych ludzi, widzieć się tak wybornie opisanymi, i posiadać wśród siebie malarza, który te portrety nakreślił. Czytamy w dzienniku miss Brontë: „Zona starego Johna myślała, że mąż jej oszalał, słysząc jak się sam do siebie śmieje z całego gardła, tupiąc nogami w podłogę. Przybiegł do nas i chciał sam czytać ojcę rozdział poświęcony wikariuszom. Marta wpadła wczoraj cała zadyszana.”

Co za nowiny, co za nowiny! zawołała.

Co takiego? spytała.

Za pozwoleniem pani, ludzie mówią żeś napisała dwie książki, dwie najpiękniejsze jakie kiedykolwiek widziano! Mój ojciec słyszał o tym w Halifax, słyszał to u p. T. u p. G. u p. M. którzy zbierali meeting, na którym miano się ułożyć o sprowadzenie tych książek. Nadesłano je wreszcie, każdy pragnął je czytać, ciągniono losy, naznaczono szyling kary na tego, który tom dłuższy nad dwa dni zatrzyma. Mieszkańcy z sąsiednich hrabstw przybywali umyślnie, żeby zobaczyć Karolinę, a zakrystjan wskazując ją ciekawym, dobre na tem oryginalnem przedsiębiorstwie, zarabiał pieniądze.

Dowody zadowolenienia współziomków, którzy ją znali od dzieciństwa, wzruszały Karolinę do głębi duszy, i nie miała były dla niej pociechą. Życzliwość osób wyższe w społeczeństwie zajmujących stanowisko, musiała także przyjemnie na nią robić wrażenie. Znając jednostajne jej życie, wyższe towarzystwo miejscowe, starało się koniecznie ją rozerwać. Nie łatwą to było rzeczą. Jak wiemy, Karolina była nadzwyczaj nieśmiała, i wiele potrzeba było taktu, żeby tę nieśmiałość przewyciężyć. Zapraszano ją do Londynu: pojechała oświadczając z góry że tylko z kilku bliżej znajomymi osobami życzy sobie widzieć się. Do osób które najwięcej życzliwości okazywały miss Brontë, należy policzyć jej wydawców. Wiedząc jak małe Hawort z resztą świata ma stosunki, posyłała jej wszystkie nowe książki i dzienniki tygodniowe. Karolina przyjmowała je z wdzięcznością, lecz mimo najusilniejszych nalegań, nie chciała takowych nigdy na własność zatrzymać.

Życie obecne naszej bohaterki, mogło być względnie, jeżeli nie szczęśliwym, to przynajmniej spokojnem, lecz niestety wyobraźnia jej tworzyła sobie zawsze jakieś urojone widziadła które jej ten pokój zakłócały, jakąś próżną trwogę, która gorączką zapęłniała jej serce, jakieś czcze przeczucia które nie sprawdzając się nigdy, wracały zawsze ażeby dęczyć tę biedną duszę.

Chorobliwe to usposobienie Karoliny dało się spostrzec we wszystkich stosunkach życia. Najzwyklejszy wypadek, jakaś pomyłka łatwo dająca się sprostować, zarówno z rzeczywistymi cierpieniami drażniły jej osłabione nerwy. Zwykła tworzyć najdziwniejsze przypuszczenia, i tak np: kiedy *Viletta* ukazała się na widok publiczny, wydawcy wysłali do Haworth umówione honorarium, zapomniawszy dołączyć stosownego listu. Dało to powód Karolinie do tysiąca domysłów: być może iż obraziła czemś wydawców, a może nie są zadowolnieni z ostatniego jej dzieła. Nakoniec postanowiła sama pojechać do Londynu dla wyjaśnienia tajemnicy, będącej próżnym tworem jej wyobraźni, gdyż nadszedł list, dzień czy dwa później wyprawiony. Łatwo się domysleć, że przy podobnem usposobieniu miss Brontë musiała być niesłychanie czułą na krytykę i tak było rzeczywiście. Pochwały pochlebiały jej, jeżeli mianowicie pochodziły z pod pióra jakiej literackiej znamienitości, Thackeray'a np: który szczególnie budził w niej uwielbienie. Spisuje ona troskliwie w swoich listach przyjazne krytyki, i zachowuje pisma, które o niej źle lub dobrze wspomniały. Wszakże krytyki złośliwe, a nawet chłodne lub oględne napełniają jej serce gorączką. Po ukazaniu się *Joany Eyre*, *Quarterly Review* przyjął nową autorkę, z widoczną niechęcią, i powieść jej niesprawiedliwie i złośliwie ocenił. W owym artykule który ukryli przed nią wydawcy, a o którego nadesłanie domagała się koniecznie, krytyk stara się odgadnąć kim jest *Currer Bell*. Domyśla się

że jest kobietą, i to kobietą która dla pewnych powodów od dawna już z towarzystwa usunięta została. Ten domysł nieuczciwy i na niczem nieuzasadniony, nie zrobił w tej chwili z powodu szczególnych okoliczności tego wrażenia, jakieby kiedy indziej zrobił na Karolinie: była to właśnie epoka śmierci Bramwella i Emilii. Pomściła się wszakże, wkładając zniewagi *Quarterly Review* w usta jednej z osób występujących w *Shirleya*, a później kiedy pierwszy żal po śmierci siostr i braci przeszedł, i miała dość czasu do zastanowienia się, głęboko odczuła obrazę przypisując wzmiankowanemu artykutowi, wszystkie błędne sądy i zdania krążące o jej pismach, których charakter pozwolimy sobie jeszcze bliżej, choć w niewielu słowach określić.

Pisma te niemają nic wspólnego z całym współczesnym ruchem literackim. Miss Brontë zapałuje się zupełnie inaczej na posłannictwo literatury, od wszystkich prawie współczesnych pisarzy angielskich, którzy uważają ją za środek, do osiągnięcia jakiego praktycznego, politycznego lub społecznego celu. Wszystkie ich romanse i poemata, mają jakieś tendencje wsteczne lub postępowe. Popierają jakąś reformę, usiłują zwalczyć jakiś przesąd, wykryć nadużycie. Nic podobnego w utworach miss Brontë nieznajdziemy. Karolina jest artystką i nie czem więcej tylko artystką. Maluje charaktery, i wyprowadza do walki namiętności, a skoro potrafiła dać wierny obraz rzeczywistości, sądzi że spełniła zadanie. Żadna myśl uprzednia nie kieruje nią, skoro zabiera się do pisania: nie w niej nie zdradza żądzy wywarcia jakiegokolwiek bądź wpływu na politykę, lub panujące socjalne wyobrażenia. Sąd wydany przez nią o *Chatce Ojca Tomasza* najlepiej maluje jej myśl prawdziwą, i jest niejako wyznaniem jej estetycznej wiary:

— „Zauważyłaś Pani zapewne, pisze do mistress Gaskell, że *Viletta* niema nic wspólnego z publicznymi sprawami. Nie potrafiłabym napisać książki, w przedmiotach dotyczących bieżących interesów społecznych; napróżno bym się o to kusiła. Nie mogę także napisać książki, samej moralności poświęconej, nie mogę sobie postawić filantropijnego zadania, chociaż szanuję filantropię. Chętnie i szczerze uderzam czołem przed tak wzniosłym celem, jaki sobie mistress Beecher Stowe osiągnąć zamierzyła. Chcąc zajmować się temi wielkimi kwestjami, trzeba je najprzód długo i praktycznie badać, trzeba je znać pod wszelkimi względami, przeczuwać niejako wpływy jakie wywołać mogą. Bieda temu, który je uważa po prostu za przedmiot spekulacji.”

Karolina zresztą w swoim zapatrywaniu się na społeczeństwo zdrowym kieruje się rozsądkiem. Jak wszyscy uczciwi ludzie pragnie szczęścia i poprawy ludzkości. Zna doskonale wady i przesady angielskiego ludu, wytyka je i gromi. Nieoburza ją wprawdzie hołd oddawany tej warstwie społeczeństwa, której przedstawiciele zajmują zarazem najpierwsze stanowisko w kraju, domaga się tylko, ażeby na ten hołd własną zarobili zasługą; za to z całą potęgą swego talentu, występuje przeciw przesadzonej czci dla pieniędzy, pomiędzy jej ziomkami aż do bałwochwalstwa posuniętej: mniema nakoniec, że należy cenić człowieka, nie wedle położenia w jakim go okoliczności postawiły, ale wedle jego wewnętrznej wartości. Któż z nas niepodziela tych przekonań miss Brontë?

Życie Karoliny podczas ostatnich lat czterech, składało się z drobnych przyjemności; prawdziwe szczęście nie było dla niej stworzonym, i podobno nie miała już dosyć sił żeby się niem cieszyć. Odbyła w tym czasie kilka krótkich podróży do Szkocji, do Londynu, do Jezior Westmoreland. Podróże te nie trwały nigdy dłużej nad dni piętnaście. Haworth témczasem wydłubiał się dalej. Stara Tabby umarła poprzedzając tylko do grobu kilka miesięcy, ostatnią ze swoich wychowanek.

Ważna noreszcie zaszła zmiana w położeniu miss Brontë, zmiana, która mogłaby szczęśliwszą przyszłość zapewnić, gdyby, nie wiem po który to raz już powtarzamy, do szczęścia była stworzoną. Artur Nicholls wikary pana Brontë, kochał Karolinę od dawna. Nie talenta ani sława pociągały go ku niej, lecz patrząc na nią od lat wielu, był świadkiem walki, jakie staczała z obowiązkiem, a z których zawsze wychodziła zwycięsko; wiedział jakie skarby przechowywało to serce, na pozór w sobie zamknięte. Po długim wahaniu, oświadczył się Karolinie, która nie dając mu stanowczej odpowiedzi, zawiadomi-

Korespondencja z Paryża.

(Dokończenie.)

ła ojca o tem co się stało. Pan Brontë miał te same o małżeństwie wyobrażenia, jak pastor Helstone w *Shirley'u*. Nie pojmował dla czego ludzie się żenią, i o ile mógł perswadował swoim znajomym, ażeby tego szaleństwa nie popełniali; dowiedziawszy się o oświadczeniach pana Nicholls wpadł w gniew niepochołowany. Karolina nie chcąc drażnić chorego ojca, nśmierzyła burzę obietnicą: że ręki swojej panu Nicholls odmówi. W skutek tego ten ostatni opuścił Haworth. Z czasem wszakże gniew pana Brontë ostygł, i pozwolił mu się oswoić z tą tak dziwną dla niego myślą, wydania za żonę córki. Dał nareszcie przyzwolenie, i wikary wrócił do swoich obowiązków. Skoro raz małżeństwo ułożone zostało, pan Brontë nie miał ani chwili spokoju, dopóki nieprzyszło do skutku. Wszystkiemi przygotowaniami sam się gorliwie zajmował. Nareszcie nadświadczył oznaczony dzień ślubu 29 czerwca 1854 r., a z nim nowa niespodzianka. Pan Brontë oświadcza narzeczoną że mogła iść do kościoła, co zaś do niego, dodaje, że krokiem się z plebanii nie ruszy. W jaki jednak sposób zastąpić ojca w ceremonii religijnej? Całe towarzystwo obecne składało się z dwóch przyjaciółek Karoliny, i pastora mającego ślub dawać. Co tu robić? Zaczęto się rozczynywać w rubrycelli anglikańskiego kościoła, i przekonano się że duchowny powinien przyjąć narzeczoną z rąk ojca lub przyjaciela. Płec przyjaciela nie była oznaczoną, jedna z dam przyjęła na siebie obowiązek oddania miss Brontë. Gdyby przepis bliżej był określony, małżeństwo nie byłoby przyszło do skutku.

Mistress Nicholls żyła zaledwie dziewięć miesięcy po pójściu za żonę. Zdawało się że pod wpływem szczęścia i przywiązania; wraca jej zdrowie i siły. spostrzegła z radością że bóle głowy, na które tak okropnie cierpiała, zaczęły ustępować. Niestety! drobny bardzo wypadek zniweczył te zwodnicze pozory. Dnia 29 listopada 1854 r. pisze: „Artur zaproponował mi przechadzkę. Wyszliśmy bez zamiaru udania się daleko; zrobiliśmy jakie pół mili, gdy Arturowi przyszła myśl żebyśmy poszli obejrzeć wodospad. Pragnęłam nieraz widzieć kaskadę w całej jej zimowej świetności, zgodziłam się zatem chętnie na jego żądanie. Czas był piękny. Pyszny potok, z dzikim szumem pędził wśród skał nieczem niewstrzymany. Deszcz zaczął już kropić kiedyśmy się napawali jeszcze tym widokiem. Wróciliśmy do domu przemoknięci do nitki.

Przechadzka ta sprowadziła silniejsze oznaki rodzinną choroby, a wkrótce i śmierć; 31 marca 1855 r. Karolina skończyła przeżywszy zaledwie 39 lat. Wszyscy znajomi i przyjaciele serdecznie ją opłakiwali, a wieść o jej zgonie smutnem echem rozszła się po całej Anglii.

Poznawszy życie Karoliny Brontë, najlepiej dopiero można zrozumieć rodzaj jej talentu, i charakter jej dziwnych utworów. Własne życie autorki jest treścią jej powieści. Po trzykroć przedstawiała nam to, o czém marzyła, na co patrzyła lub co czuła. W *Joannie Eyre* odmalowała życie takim jakim go sobie wyobraziła; w *Willecie* swoje rzeczywiste moralne życie, w *Shirleyu*, wychodząc ze się tak wyrazim zewnątrz siebie, nakreśliła obraz ustronia w którym żyła, i tej części społeczeństwa którą znała.

Każda zatem z jej książek ma swój odrębny charakter. W pierwszej *Joanna Eyre*, panuje wyobraźnia, wyłącznie wyobraźnia: życie to przedstawia się takim, jakim go autorka mieć pragnie, nie zaś jakim jest rzeczywiście, stąd to nadzwyczajne zagęszczenie, jakie budzi ten utwór imaginacji. W *Willecie* marzenie ustępuje rzeczywistości. *Lucy Snowe* jest zawsze tą samą *Joanną Eyre* a jednak najzupełniejszą z nią tworzy sprzeczność. *Joanna Eyre* jest Karoliną idealną i poetyczną; *Lucy Snowe* jest Karoliną prozaiczną i żyjącą; są to dwie siostry, lecz istnieje między nimi ta różnica, jaka istnieje między rzeczywistością a marzeniem.

W *Shirley'u* miss Brontë jakoś już wyżej powiedzieli zapomnieli o sobie, choć i ta powieść ma pewien związek z jej życiem, będąc wiernym obrazem obyczajów ludu wśród którego wychowała się i życie spędziła.

Po jaskrawem odmalowaniu pisarza rzemieślnika, handlarza myśli swojej, sprzedającego wedle zadania miłość i nienawiść, płacz i śmiech historję i bajkę, satyrę i pochwałę, obelgę i moralność, Dumas przechodzi do znakomitości literackich którzy za pierwszym umacnianiem pióra rozsypali do koła skarby swego geniuszu. — Pozostawiając zmarłych w pokoju. Dumas zajmuje się tylko żywymi, pracującymi bez przerwy pod naciskiem myśli rozsadzającą im czaszki a mimo to skazanych na przeświadczenie i zapomnienie.

Czyż może być inaczej? — Czyż właśnie nie na tem zasadza się postęp ludzkości, aby dziś było mędrze od dnia wczorajszego? — Gdyby Dumas choć na chwilę mógł się od ziemi oderwać, znalazłby łatwo wyjaśnienie tej strasznej zagadki. Orlem skrzydłem bijąc nieraz w chmury, zanurzony po kolana w pył ziemski, zapytuje Francji o los wielkich jej pisarzy.

Zubożonemu Lamartynowi powiada, każesz na nowo pracować obiecując składkę prenumeracyjną, jeżeli ze swego serca, ze swęj przeszłości, porobi tomy, coby ziewanie zrobiły mniej nudnem i znośniejszem. — Hugonowi nuczisz pochwalne hymny, bo stanawszy zdala na skale w pośród oceanu, głowę ukrył w chmurach. a to za odległe i za wysoko, abyś grotem zapomnienia mogła go osiągnąć. — Sand tuła się po za wielkimi twemi murami, wielbisz ją bo się lękaś aby jak kometa smugą swego światła, w proch cię nie starła. O ojcu swoim Dumasie przemawia z rzewnością godną syna tak wielkiego mistrza. — Znać to może, ale nie mogę się powstrzymać od powtórzenia słów tych ognistych, oprawnych w złoto wyborowego taktu, delikatnego smaku i bezwzględnej sprawiedliwości. — Jest to może najpiękniejszy ustęp z poglądu Dumasa, cieszący niewymownie Paryż, jako dotykający dowód miłości synowskiej, którą chciano gwałtem zniesławić.

Wiek dziewiętnasty, który rozpoczawszy dopiero trzecią i ostatnią dobę swego żywota, strawił już tragedją, romantyzm i realizm i dziś znudzony i przesycony łaknie nowęj nieoznaczonej dla siebie strawy pokonał i ciebie jakby za karę żeś go przyuczył do żarłocstwa.

Byłś jednak człowiekiem stworzonym do tego wszystko pochłaniającego wieku, do wiecznej produkcji, i dla tego znając to gnębi nas, że sił twoich nie posiadamy. — Natura urobiła ciebie wedle miary apetytów potężnych, które widocznie musiała przewidywać. — Pod amerykańskim słońcem, z afrykańskiej krwi, z czarnej dziewicy, stworzyła twojego ojca żołnierza i generała rzeczypospolitej, co konia dusił kolanami, zębami łamał hełmy i sam bronił mostu Bryxen przeciw awangardzie dwudziestu ludzi. — Rzym byłby go mianował konsulem.

Francja więc wyrachowana i rozważniejsza, od mówiła szkoły jego synowi, i syn ten wychowany w lesie, na wolnem powietrzu, pod gołym niebem, pchany siłą swego geniuszu, wpadł pewnego dnia do wielkiego miasta i literaturę wziął szturmem, jak jego ojciec nieprzyjaciela, obalając wszystko co mu na drodze zawadzało. — Wtedy to zaczęła się ta cyklopowa praca, trwająca lat już czterdzieści, w której niespożyty i niezmordowany, wrzucił wszystko do formy twojego muzgu, dramata, romanse, tragedje, podróże, komedje, zaludniając świat bajeczną nową kreacją. — Rozsadziłeś dzienniki, książki, teatr, zbyt szczupłe dla twoich potężnych ramion; nakarmiłeś Francję, Europę, Amerykę, zubożyłeś księgarzy, tłómaczy, naśladowców, pomordowałeś drukarzy, zamęczyłeś przepisywaczy... — Palony wciąż potrzebą tworzenia, nie zawsze wypróbowałeś swój kruszec: brałeś i ciskałeś w ognisko wszystko co ci wpadło pod rękę. — Ale ogień inteligentny zrobił podział: co twoje było w bronz się ułalo, co z kąd inąd przyszło, z dymem się rozpierchło. — Kuleś tak nie mało żelaza, ale iluż to co miało zostać ciemnymi, oświeciło się i rozgrzało przy twojej kuzni. — Gdyby godzina sprawiedliwości wybiła, ileżbyś zyskał odbierając tylko to coś dał i co ci wzięto.

Czasami znudzony składałeś swój młot na obszernem jak świat kowadle, siadałeś na progu swęj jasnej groty i podkaszawszy rękawy, uśmiechając się ocierałeś czoło oblane znojem... Patrzyłeś w milczące gwiazdy zachwycając cię świeżością nocy, albo też uciekałeś w świat jak niewolnik, na fale oceanu,

na Kaukaz, na Etnę a zawsze na coś olbrzymiego. — Wówczas pierś nasyciwszy nowości oddechem powracałeś do swojej samotni, a cień od twęj potężnej postaci rysował się znowu czarną, barwą przy blasku czerwonego ogniska. — Tłum zachwycony przykładem ci z uniesieniem, gdyż lubi płodność w pracy, nadobność w sile, prostotę w geniuszu, a ty posia dasz to wszystko, co tylko robi cię milionerem dla innych a ubogim dla siebie. — Aż wreszcie przysza obojętność, tłum zwrócił się w inną stronę, pragnąc widzieć co innego. — Zbyt wiele mu dałeś, aby nie miał zapragnąć nowości.

I myśmy przyszli, my dzieci, my mali, cośmy rośli przez ten czas, cośmy robili wprost przeciwnie jak wy wielcy. — Oto cała tajemnica, tyś został dla poważnych Dumasem ojcem, dla gburów ojcem Dumasa i wśród wrzawy mogłeś słyszeć nieraz zdanie: syn bezwątpienia ma więcej talentu niż ojciec.

Jakże się śmiać z tego musiałeś... ale nie! byleś z tego dumny, szczęśliwy, podobny do każdego pierwszego lepszego ojca, może nawet wierzyłeś temu co mówiono, ukochany wielki człowieku zarówno dobry jak naiwny w swęj ojcowskiej miłości. Byłbyś mi dał chętnie swoją chwałę, jak dawałeś pieniądze kiedym był młodym i leniwym, to też szczęśliwy jestem, że mam sposobność skłonić się publicznie przed tobą, oddać ci hołd w pełnem świetle, i uściskać cię, tak jak cię kocham w obec przyszłości. — Niech inni mojego wieku i mojęj wartości, mienia się tobie równemi choć nie noszą twęgo imienia: nie wyrzucam im tego ani zazdroszczę, bo i tak dość byłbym znany gdybym pozostał jedynie twoim synem. — Trzeba jednak aby potomość, kiedy zmuszoną zostanie rachować się z tobą, kiedy wyczyta dwa nasze nazwiska jedno przy drugim zapisane w bilansie tego wieku, wiedziała o tem, że w tobie zawsze widział ojca mojego, mojęj przyjaciela i mistrza, że dzięki tobie, nigdy siebie nie przeceniał nad rzeczywistość, że się zawsze uważał za malca ilem razy został zmuszony do porównawia siebie z tak straszliwym ojcem. — Po wypowiedzeniu wspomnień dziecińczych i młodości, opromieniających blaskiem miłości stosunek syna do ojca, zapytuje autor, iaka może być przyczyna że wiek obecny mający jeszcze trzydzieści lat życia, tak łatwo wielkich szermierzy pióra rzuca w przepaść zapomnienia?

Dla tego, powiada, że to wiek najwięcej się spieszący ze wszystkich, wiek, który jak okręt Kolumba czuje się niesionym do nieznanych brzegów. — Zdaje mu się że już słyszy szum wodospadów o których marzy w nocy choć go mają pochłonać, i zużywać oczy i teleskopy na badaniu otaczającej go niebios przestrzeni. — Najmniejszy ptaszek, zdźbło trawy zwiastujące obiecaną ziemię, miłszeby mu były niż najpiękniejsze wspomnienia rodzinnej wioski. — Skoro przybije, namiot swój rozpocznie, może znowu zerchce usłyszeć naiwne sielanki, rycerskie przygody, słodczy melancolji i najdelikatniejsze odcienia uczucia. — Ale dziś, przeszłość go pcha, obecność grozi, przyszłość przeraża. — Nie żąda zachwycania, nie chce aby go sławiono, domaga się tylko zabawy.

Wyraz ten ostatni zaklęty przez tegoczesną krytykę, stał się dla niej sztandarem, którym nadstawia się osłaniając swoje płułunowe na świat poglądy. — Gniewa ją wszystko co na tle wyobraźni snuje ludzkość z kłębka swoich pojęć i myśli: zżyma się na scenę uplastyczniającą grę namiętności serca ludzkiego, a powieść obrzuca wzgardą i szyderstwem, z których zelżona śmieje się strojąc w powagę na miękkich puchach swęgo majestatu. Krytyka roznamietniona, rozgorączkowana zarozumiałością, chciałaby świat cały zaprząść do retorty, do mikroskopu, do starych pobutwiałych rękopismów, do wielkości zamkniętej w atomie i do małości ograniczonej całym widomem światem. Piękna to i wielka praca, ale nie każdemu dano do niej zamiłowanie i usposobienie. Przyjrzenie się sobie dokładne nie małej jest także wagi, a poznawanie siebie przez drugich, to także podróż do mądrości, w czem powieść i dramat najdzielniejszą przynoszą posługę. Niechże więc każdy idzie drogą wewnętrznego swęgo usposobienia: niech jedni przez badania poważne, dają ludzkości postęp, inni przez obrazowanie społeczności, ulepszenie moralne. W wielkiej formule mającej kiedys rozedrzeć tajemniczą zasłonę, przysłaniającą cel całego stworzenia, głoski ryją wieki, a dłu to wiedzą równo wielcy jak mali, geniusze jak prostacy, zwykle bezwiednie, ale każdy choćby nie chciał musi do niego przykładąć rękę. Któż odważy się oceniać jej nacisk, lub wartość i siłę tego nacisku? Gdyby świat

tylko badał lub bawił się, wprędce z braku rozwinięcia praktycznej strony, umarłby z głodu, a z braku nauki wrócił do stanu pierwotnej dzikości. Harmonia jest tu niezbędna i dla tego zabawa stała się siłą żywotną, przenikającą wszystkie prace, które w zbiorowym swem zlanu, podnoszą ludzkość coraz wyżej i wyżej, tam gdzie dążyć jest jej przeznaczeniem.

Bawi się też naturalista przy mikroskopie, bawi astronom wpatrując w nieograniczone przestrzenie, bawi filozof gubiąc się w abstrakcji i przypuszczeniach, bawi matematyk nowe tworząc formuły, bawi się poeta i powieściarz, słowem bawi się każdy z nich choć zabawie z goryczą wypowiada wojnę. Cóż więc dziwnego, że po za temi wybrańcami, miljonowy tłum przykuty do pracy już nie swoim rodzajem zajmując go, ale tylko zapełnianiem czasu z którymby inaczej nie wiedział co ma zrobić, pragnie tak gwałtownie zabawy?

Nie brońcie więc jej, nie sztydźcie i nie naigrawajcie się, tylko starajcie się, aby jak wy bawiacie się, stajecie się codziennie mądrzejszymi, tak samo i tłum przez tak upragnioną zabawę, ulepszał się i doskonalił. Dla zwierza sen i jadło to cały świat uciechy i zadowolenia: pragnąc zabawy nmi tylko człowiek godny zawsze pochwały gdy jej w książce szuka. Żeby ta była posilną, któż o to winien się starać, jeżeli nie wy, rycerze pióra, co kiedyś choć tak wiotkie stanie się panem ziemi i zdruzgotce miecze dziś tak wszechwładne.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Rozpatrując się w owocach, pracy ludzkiej, od młota tłukącego kamienie aż do lunety podglądającej tajemnice Boże mimowoli przyszło mi do myśli pytanie, jaki też Czytelnicki Tygodnik Mówi o naszą korzyść z artykułów zwanych Pogadankami tygodniowymi? Przyjemność przy czytaniu, odczucie sobie, bardzo wątpliwa, zabawa niepewna, nadzieja wpływu śmieszna a nawet zarozumiała, owa zaś tyle chępliwości obudzająca szczerze słowa godna surowego skarcenia. Kaznodziejski biret nie zawsze zdobi i wdzięczność skarbi. Gdyby to jeszcze na głowach owych, jak powiedział niegdyś Mimus, najpierwszych całego świata ogrodników, bo na jagodach hodujących róże, byłby może pociągającym, ale na głowie Janka z Bielca... mdły i niefortunny.

Wśród ciszy wiejskiej, pomiędzy świerkami i odwiecznymi dębami tajemniczym szmerem napełniającymi leśne obszary, każdym drżeniem liścia, szelestem gałązek poruszonych skokiem zręcznej wiewiórki, stukotem dziecięcia, świegoleniem jakiejś zabłąkaną ptaszyną, piszącą straszny wyraz *samotność*, skrucha mimowoli opanowała cały umysł. W tęczowym ruchu mieniących się myśli, zakreślających łuki od lichy szyski sosnowej aż tam gdzieś po nad nami i daleko i wysoko, po długim namyślaniu się i rozważaniu, wyrok wypadł stanowczy, zaprzestania zupełnie Pogadank. I rzeski, swobodny jak orzeł, co mrowiące się życie na ziemi widzi tak małym, jakim go nie ujrzy żadne ludzkie oko, klasnąłem w ręce radośnie. Puszczaj leśna zawiasta rozbudzona cisza zmienia się w gwar, który niknąc stopniowo, zginął bez śladu i wieści, napełniając duszę moją smutkiem nieopisaną tęsknoty. Zły towarzyszu, zawołałem, porzucam cię! Tam pośród pól zbratanych ze słońcem i życiem, wpośród ruchu rolniczej pracy, otrząsnę się z niemilego wrażenia, i jednym polotem myśli, nasycę się skarbami sielskiej rozkoszy.

Na bruku miejskim, przy trąkocie ulicznym, cały ten proces myśli stanął mi żywo w pamięci, postanowienie wzmocniło się, ale... namowy, przychylnie słowa, listowne wezwania z pewnym nawet wyrzutem połączone, wreszcie wyraźne domagania się zmieniły wszystko, i upokorzony, nieśmiały, niepewny przyjęcia stałem znowu przed Wami, ze starym słowem: witajcie!

Po tak długiej przerwie, przedmiotu jak się łatwo domyślić do gawędy nie brakuje, pierwszeństwo w wyborze należałoby zrobić dla wystąpienia pani Heleny Modrzejewskiej, olśniewającej talentem nawet najmniej skłonnych do uniesień artystycznych: ale pod tym względem wyręczony zostanę oddzielnym obszernym sprawozdaniem które w krótko

w Tygodniku pomieszczone zostanie. Niechże więc wstępne słowo poświęcę wyrażeniu wdzięczności dla p. M. Łubieńskiego, za wytrwałość i gorliwość w prowadzeniu lekcji zbiorowych rysunków i malarstwa, które po roku pomyślniej próby z dniem 1 Października na nowo rozpoczęte zostały. Gdyby wszyscy co mogą, co z czasem nie wiedzą co począć, chcieli naśladować zacząć, myśl p. M. Łubieńskiego, więcejby dobrego zrobili dla siebie i innych, niż się nawet mogą spodziewać. W ogólnym zwrocie młodzieży naszej do rzemiosł i przemysłu, największą trudnością jest dla niej znalezienie odpowiedniego miejsca, w którymby mogąc się kształcić w obranym zawodzie, wolni byli od różnych niedogodności, nieodłącznych przy wprowadzeniu w czyn każdej nowej myśli. Ułatwienie to byłoby bardzo pożądane, a przynieść je może założenie warsztatów rzemieślniczych, tak urządzonych żeby obok zajęcia był im zapewniającego, były zarazem pewnym rodzajem szkoły dla młodych ochotników pragnących poświęcić się rękodzielnictwu. Do urzeczywistnienia tego więcej trzeba dobrej woli jak pieniędzy, zanieść chęci i pojęcia, że człowiek nie samem tylko żyje chlebem. Wprawdzie na ziewanie, ruletę, zabawkę przy zielonych stolikach, na marnotrawstwo grosza, drobnostki, przejażdżki, mniejby pozostało czasu, ale za to przemysł krajowy podraszałby w olbrzyma, i z niedołężnego niemowlęcia stałby się w prędko dojrzałym mężem. Gdyby to samo chciało się zrobić byłoby zapewne najlepiej, ale świat tak jest tetryczny i dziwaczny, że bez pracy nie daje kołaczy.

Jako w związku z rzuconą tu myślą, polecam dziełko wydane przez Karola Forstera w Berlinie p. t: Studja nad człowiekiem. Stanowi ono dziewiętnasty tom Biblioteki nauk moralnych i politycznych, w którym autor p. Latena zastanawia się we wstępie nad ogólnymi podstawami moralnego istnienia człowieka, a później przedstawia go ze stanowiska rozumu, uczucia, moralności i życia społecznego. Rozumowanie całe wyłożone z wielką jasnością, zaleca się zaciętością poglądu i głębokiem pojęciem społecznym obowiązku.

Z pociechą przyznać należy że obowiązki te nie są nam obce, i czasami tak żywem pobłyskują światłem, że gdyby częściej chciały oświecić drogi naszego żywota, tobyśmy je przebywali bez utykania i każdy pień, każdy dół lub kamień omijali zdaleka. — Do owych migotliwych światełek godnych największej pochwały, należą wszystkie teatry amatorskie, koncerta, loterie fantowe podjęte w celu zarówno niesienia pomocy biedactwu, jak ułatwieniu nauki niezamożnej młodzieży. Miłosierdzie rzecz święta powiadają; ale pomoc dla młodzieńca pragnącego nauki i święta i rozumna. Wprawdzie są dusze tak kwaśne, że na zabawy podobne powstając z oburzeniem, źródła ich szukają w modzie, próżności i w nieuśmierzonej niezmęce chęci zabawy: ale surowość to przesadzona, bo dopóki ziemia nam ojezyzną, żyć na niej musimy według praw ducha i ciała, aby tylko w harmonii z wyższem przeznaczeniem człowieka. Głosy jednak te niezadowolenia nie dziwią mnie wcale, bo jeżeli na słońcu nowe odkryto plamy, rozlewające się na tarczy jego jak olej na bibule, to cóż dziwnego że i w sprawach ludzkich najmniejsze plamki tak skwapliwie są wytłukane. Z plamami jednak słonecznymi sprawa cokolwiek trudniejsza, niektórzy bowiem astronomowie wróżą, że to jest ani mniej ani więcej tylko zapowiedzią zupełnego zgaśnięcia tego źródła wszelkiego na ziemi życia. Aż strach pomyśleć o następstwach w razie sprawdzenia się tego proroctwa. Wszystko to być może, obecne bowiem czasy zalecają się nader ważnymi wynalazkami. Mamy już lunetę podwodną pozwalającą rozpatrywać dna morskich otchłani, — mamy kule działowe przebijające blachy żelazne półłokciowej grubości jak ćwiartkę papieru; — niedawno wynaleziono maszynę wyrzucającą w minutę 120 śmiertelnych pocisków: jakiś p. Muratory przyrzadził materję na pancerze które nie przebija bliski stosunkowo strzał karabinowy a tym bardziej najbliższy z rewolweru: mamy zapowiedziany nowy pomysł, możliwości rozmawiania przez morza i oceany już nie za pomocą lin podwodnych, ale biorąc samą wodę za przewodnika: chemik Gaudin wyrabia sztuczne dyamenty i drogie kamienie, twardsze od stali i z tak ładującym naśladownictwem że je bardzo trudno od naturalnych rozróżnić. W Paryżu już budują domy bez schodów które zastępują windy hydrauliczne: w Nowym Yorku fabryka kołnierzyków papierowych wyrabia ich

w 350 gatunkach w przeciągu jednej doby aż pięć milionów sztuk: na stołach szlaskich magnatów zjawiały się od dawna zaniedbane pieczone łabędzie, a u nas wreszcie otwiera się teatr złożony z samych artystów wyznania mojżeszowego, stawia dom żelazny przy zjeździe zalecający się zarówno wyszukaną powierzchownością, jak wewnętrzną wygodą i wszelkimi dogodnościami, i wreszcie znani ogrodnicy bracia Bardet, ustroili sklep swój grupą płodów ziemi tak olbrzymich rozmiarów, że jeszcze kraj nasz nie podobnego nie widział.

Jest tam bowiem jeden burak cukrowy biały ważący funtów 27: drugi pastewny żółty ważący funtów 17: czerwony funtów 12: marchew funtów 4 a bania jadalna stanowi prawdziwe dziw wielkości, bo przy odpowiedniej tuszy ważący aż funtów 113. Przy takich wynalazkach i zdobyczach pracy ludzkiej, powiększające się plamy na słońcu mogą nie być mrzonką naukową, idzie tylko o to, czy świeżo powstały czy je dopiero teraz przy ulepszeniu szkielest astronomicznych dostrzeżono.

Warszawa nie zajmując się rozstrzyganiem tak subtelnych kwestji, ze spokojem godnym jej powagi żegna zamykające się ogrody z teatrami, teatrzykami i różnemi spiewakami, którzy jak ptastwo przelotne odrunęli już szukać miejsc cieplejszych na zimowe swe przedstawienia. Teatra też napełniają się coraz większemi tłumami, o bilety na wystąpienia pani Modrzejewskiej, dniem wprzód trzeba do kasy teatralnej szturmować jak do fortecy, a abonament na zapowiedzianą operę włoską już został w znacznej części rozebrany. Odjeżdża także teatr zwany Rapido, dość długo nudzący nas różnorodnemi przedstawieniami: wkrótce mają wyskakać i pchły tresowane.

W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

KSIEGA VIII.

NA WYSOKOŚCIACH.

Uwolniony od obowiązków nadwornego doktora Gunther postanowił porzucić stolicę i opuścić wir życia światowego, pojmując to dobrze że do szczęścia wystarczy mu towarzystwo żony i dzieci. Przeczynał wprawdzie, że nie raz da mu się uczuć brak tej atmosfery sfer wyższych, którą tak lubił oddychać wzniosłe umysły, czuł się jednak dość silnym, aby wyrzec się tej przyjemności bez zbytecznego żalu. Szybko przemógł smutek jaki mu sprawiło tak nagłe usunięcie od dworu, ale żal mu było rozstawać się z przyjaciółmi, a szczególnie z królową, której nie raz jeszcze mógł być potrzebnym; wszakże, zastanawiając się nad tem lepiej, pomyślał, że charakter królowej nabierze więcej hartu, gdy nie licząc na nikogo, wyrobi w sobie silną wolę i wytrwałość.

Gunther, opuszczając stolicę, urzeczywistniał ulubione marzenie swoje; miał znów zamieszkać w rodzinnem mieście. Liczył około sześćdziesiąt lat życia i sądził że skoro wywiązał się już jako człowiek ze wszystkich swych obowiązków, wolno mu poświęcić dla siebie chwile jakie jeszcze przebędzie na ziemi.

Kilka lat temu, Gunther, kazał wybudować w rodzinnem mieście mały domek, do którego żona jego z dziećmi wyjeżdżała na letnie mieszkanie; w tym domku zamierzył przepędzić ostatki życia. Żona i córki doktora, spokojnie żegnały wszystko co je od tak dawna otaczało; miały wprawdzie przyjaciół, ale życie wpływało im głównie w cichem i szczęśliwym domowym ognisku, które miały znaleźć i w nowym swem mieszkaniu.

Siostra Gunthera, mieszkająca w miasteczku z córkami i synami, dopomogła pani Gunther do uporządkowania domu, który też wkrótce stał się najwspanialszym mieszkaniem w całym miasteczku. Każdy z przyjeżdżających dowiadywał się wkrótce od mieszkańców, że miasto posiada znakomitego i zamożnego obywatela, utrzymującego dom na wysokiej skale.

Z okien domu Gunthera, składających się z wielkich szyb zwierciadlanych, widać było góry, a wysoko na nich las, w jednym miejscu trochę przerzedzony, jednak gołym okiem nie można było dojrzeć po za nim wolnej fermy, wiadano tylko że się w tej stronie znajduje. Tam na górze Irma już czwarty rok marzy i pracuje samotnie; a w dolinie, Gunther siedząc przy swym dębowym stole, pisze dzieło o *Znajomości życia*. Oczy Gunthera zatrzymują się często na szczytach gór, a jednak nie odgadują, że i tam wysoko ktoś równie jak on bada głęboką życia tajemnicę.

Dom Gunthera, wybudowany był w wykwintniejszym stylu, niż wszystkie go otaczające; nad wchodowymi drzwiami, wypisane było słowo *Salve!* Dach wystawał znacznie, gdyż w tej okolicy trzeba zastąpić okna domu przed śnieżną zamiecią; wystawka ta była ozdobiona pięknymi rzeźbami. Schody ozdobiono krzewami wytrwałymi na zimno; gipsowe sztukaterie upiększały mury. Pokoje były skromnie umeblowane, lecz każdy przedmiot zdawał się przemawiać: „nie by mnie tu zastąpić nie mogło. Na ścianach wisiały piękne sztychy, kopijowane znakovitszych obrazów; na konsolkach stały popiersia sławnych ludzi, i pięknie wykonane z gipsu, marmuru lub brązu statuetki i grupy, przysyłane w darze przez wielbicieli, a nadewszystko przez wielbicielki sławnego doktora. W miasteczku mówiono wiele o dwóch wypchanych niedźwiedziach, tworzących ciepło i wygodne taborety; był to dar pewnej damy której Gunther uratował życie.

W salonie przy oknie siedziały trzy kobiety z robotkami w rękę; przy ich nogach bawiła się pięcioletnia dziewczynka z niebieskimi oczami; oczy trzech kobiet często zatrzymywały się na niej, i trudno było powiedzieć, której z nich spojrzenie najwięcej wyrażało przywiązanie.

Pani Gunther nie zmieniła się od wyjazdu ze stolicy; ruchy jej zachowały też samą co dawniej swobodną powagę; suknia w której chodziła wydawała się zawsze jakby świeżo przyniesiona od szwaczki; miłe jej obejście zdawało się wszystko w koło niej ożywiać i uprzyjemniać.

Wdowa po profesorze zmeżniała trochę. Paula, młodsza córka Gunthera, wyrosła znacznie, i była zupełnie podobna do matki.

Na stole zastawione było śniadanie. Czekano na doktora.

Gunther pisał w swym gabinecie, którego główną ozdobą stanowiła biblioteka, nie wielka, ale złożona z dzieł wyborowych, oraz kilka grup ulanych z brązu. Ubranie Gunthera było tak staranne, jakby miał lada chwila być wezwany do dworu. Pomimo że zamieszkał w małym miasteczku, jednak jako znakomity doktor nie utracił nic ze swęj wziętości, i utrzymywał korespondencję z osobami, najwyższe zajmującym stanowiska. W lecie, wiele znakomitych dam przyjeżdżało do miasteczka, zasięgając jego rady i leczyć się pod jego kierunkiem.

II.

Było to w pierwszych dniach wiosny.

Gunther wszedł do sali jadalnej. Wszyscy usiedli do stołu. Po śniadaniu, przyniesiono listy i dzienniki.

Paula odezwała się wesoło, iż dziś dopiero uwierzyła w powrót wiosny spostrzegłszy, że mieszkający w sąsiedztwie snycerz rzeźbiący figurki z drzewa, wyrzucił oknem swoje krajezaki które nosił w zimie, gdyż to daleko pewniejsza przepowiednia, niż ukazanie się jaskółek.

Gunther wziął listy, obejrzał wszystkie adresy i pieczętki, i zaczął czytać spokojnie, zaczynając od tych które mu się zdawały ważniejsze.

Dziś otworzył najprzód list z pieczęcią ministerjalną. Pisywał pismo Bronen'a, który zostawił ministrem, pozostawiając często do swego starego przyjaciela a nawet odwiedził go już parę razy.

Twarc Gunthera rozjaśniła się w ciągu czytania. Nasz przyjaciel Bronen, rzekł składając list, ma zamiar odwiedzić nas za dni kilka.

Paula drgnęła, schyliła się szybko i pocałowała swą siostrzeniczkę; Gunther to spostrzegł choć właśnie w tej chwili zaczął czytać drugi list. Przejrzawszy całą swą korespondencję, wziął dziennik i wskazywał Pauli ustępy które miała czytać głośno.

— Musisz napisać za mnie kilka listów, rzekł w końcu do Pauli, która wyręczała go w tem często. Chodź ze mną. Lecz w tej właśnie chwili przybył kurier z listem od królowej. Gunther odebrał go i śpiesznie zaczął czytać:

„Trudno mi wypowiedzieć, drogi przyjacielu, jaką mi sprawiłeś radość zapewnieniem, że rząd króla jest rzeczywiście liberalnym i dobroczynnym, gdyż na twojem tylko zdaniu śmiało polegamy. Czytam niezliczone pochwały oddawane rządowi królewskiemu, ale, niestety ileż to podobnych pochwał czytałam kiedyś, gdy rząd ten tak odmiennym był od dzisiejszego! Dla tego raz jeszcze powtarzam, że tobie tylko jednemu wierzyć mogę.

„Pytasz się przyjacielu, co teraz czytam; wybieram najczęściej dzieła treści religijnej, i zajmuję się wychowaniem mego małego Waldemara, który wielkie okazuje zdolności.

„Trzy dni później. Jedziemy, jedziemy, drogi przyjacielu, wkrótce zobaczysz mnie i Waldemara. A czy wiesz na jak długo? Myślisz może, że przejeżdżając, wstąpimy na godzinę? W takim razie, powiem ci, że taki filozof jak ty, którego umysł wznosi się tak wysoko że aż o gwiazdy potracą, nie powinniemy myśleć się tak bardzo. Wybieramy się do ciebie na całe wieki, co w zwykłej mowie, tłumaczy się przez cztery tygodnie; ponieważ zaś cztery razy siedm czyni dwadzieścia ośm, a więc na dwadzieścia ośm dni, — godziny, minuty i sekundy, bądź łaskaw sam już obliczyć.

„Co też pomyślisz o mnie, że piszę tak bez żadnego ład, ale i doprawdy myśląc o tej podróży cieszę się jak dziecko, kiedy dostanie długo upragnioną zabawkę. Trzeba ci jednak wszystko opowiedzieć treścią, otóż, król zgodził się na moją prośbę i pozwala mi dla poratowania zdrowia, wyjechać do ciebie na cztery tygodnie. Rozkazy już wydane, — zdaje się że minister Bronen gorliwie się tem zajmuje; ratusz miejski ma być urządzony odpowiednio, a nasze mieszkanie; widzisz więc że będziemy sąsiadami. Bronen odwiedzał was już parę razy, wiele ze mną o tem mówił i zdaje mi się że dostrzegłam jakąś zmianę na jego twarzy, kiedy zapytałam go o młodszą twą córkę. Czyżbym się myliła? Piękne ukłony twój żonie i dzieciom; mam nadzieję że obecność królowej nie będzie im przykrą.

Twoja przyjaciółka, *Matylda*.

III.

Są dnie, w których najmniej spodziewane osoby przybywają do nas jedna po drugiej, jakby umówiły się z sobą.

Gunther zastanawiał się nad listem królowej. Widocznie król dla tego zrobił to ustępstwo, aby za pośrednictwem oddalonego przyjaciela, mogło nastąpić pojednanie między królem i królową. Gunther gotów był przyłożyć się do tego, ale w żadnym razie nie miał zamiaru zmieniać teraźniejszego swego położenia. Wzmianka królowej o Bronenie, zgadzała się z jego własnymi spostrzeżeniami i w tej chwili dochodził go śpiew Pauli, a dźwięk jej głosu kazał domyślać się, że kocha i nie wątpi o wzajemności. Gunther wiedział że Paula godną jest zająć tak wysokie stanowisko, i ani dla niej, ani dla swego przyjaciela nie mógł życzyć szczęśliwszego połączenia, lecz postanowił sobie iż choćby małżeństwo to przyszło do skutku, w żadnym razie nie opuścić już miejsca swego urodzenia.

Kiedy rozmyślał nad tem wszystkiem, służący oznajmił mu przybycie pani Andermatten z wolnej fermy.

— Walpurgi, po prostu odezwał się głos za drzwiami, i zanim służący zdołał powtórzyć to imię Walpurga wbiegła do pokoju.

— Czy mnie pan poznajesz? zapytała. Przed chwilą dopiero dowiedziałam się, że pan mieszkasz tak blisko od naszej fermy. Doprawdy, mieszkamy tam jak na puszczy, nie wiemy co się dzieje na świecie. Moja matka już nie żyje. Ah! jakaż to szkoda że nie mogła widzieć pana przed śmiercią; może nawet żyłaby jeszcze gdybyś ją był leczył.

Wspomnienie matki wywołało łzy z oczu Walpurgi. Gunther usiadł.

— Po cóż tu przychodzisz? — zapytał.

— Jaki? Co? zawołała Walpurga, szybko ocierając oczy. Widzę że mnie pan nie poznaje.

— I owszem. nie zmieniłaś się wcale.

— Nie mogę tego powiedzieć o panu, panie doktorze, ale pozwól mi usiąść, rzekła, biorąc krzesło.

Tak zimne przyjęcie ze strony człowieka, który dawniej był dla niej tak uprzejmym, do tego stopnia przerażało Walpurgę, że trudno jej było utrzymać się na nogach. Milczała czas jakiś, rzucając w koło siebie niepewne spojrzenia.

— Nie pan do mnie nie mówisz? zapytała w końcu. Nie pytasz nawet gdzie mieszkam, ani jak się ma mój mąż i dzieci?

— Walpurga, rzekł doktor, raz już przestań odgrywać tę komedję.

— Komedję? Nie wiem co to ma znaczyć. Cóżem zrobiła? Co się stało?

— Nie ma co mówić o tem dłużej. Czy chcesz zapytać mnie o co, lub masz mi co powiedzieć?

— Ma się rozumieć, wszakże po to przyszedłam.

— A więc mów.

— Tak, ale przyjęcie jakiego tu doznałam, pomieszało wszystkie moje myśli. Jan nie wie że jestem u pana, i oprócz pana nikt, nikt tego wiedzieć nie powinien. Umiem dochować tajemnicy!

— Wiem o tem aż nadto dobrze! rzekł doktor surowo.

— Wiesz? Kto ci powiedział? Nie możesz wiedzieć, ja nawet nie powiem ci wszystkiego. Może byłabym powiedziała, ale takie przyjęcie odebrało mi chęć do tego.

— Czy ci się coś podoba. Mów albo milcz, ale śpiesz się bo nie mam czasu.

— W takim razie wolę przyjść później.

— Nigdy nie będę miał czasu słuchać próżnej gadaniny. Powiedz odrazu co chcesz powiedzieć.

— Więc nie chcesz mi pan nawet ręki podać? Nie umiem sobie tego wytłómaczyć, może to taki zwyczaj na wielkim świecie, szczęściem dla mnie, że znam moje położenie.

— Przystąp już raz do rzeczy, odpowiedział zimno doktor. Czy mogę ci w czem dopomóc?

— Dopomóż? Dzięki Bogu nie brak mi niczego. Chciałam tylko powiedzieć panu, że dowiedziałam się od mej przyjaciółki Stazyi, żony leśniczego Steingasingera, że tego lata król tu przyjedzie, i miałam zamiar prosić pana doktora, aby powiedział królowi że jeżeli mnie zechce odwiedzić, przyjmujemy go z otwartem sercem. Chciałam także mówić jeszcze o czem innem, ale widzę że lepiej będzie jeżeli zamilczę, nie chciałabym złamać przysięgi.

Gunther, twierdząco skinął głową i dodał. Jeżeli król zechce cię odwiedzić, powtórzę mu twe słowa.

— Czy nasza dobra królowa przyjedzie także? Nie raz w nocy, kiedy pomyślę że tak zupełnie zapomniała o mnie, żal i gniew sen mi odejmuje. Jakże się mięwa mój mały książę? Czy to prawda co ludzie mówią, że pan zostałeś oddalony ze dworu, i dla tego przeniosłeś się na mieszkanie do miasteczka?

Gunther pozbył ją krótką i zimną odpowiedzią, a w końcu dodał że nie ma czasu rozmawiać z nią dłużej.

Walpurga z trudnością podniosła się z krzesła, nie mogła zrozumieć z kąd pochodzi tak niegrzeczne przyjęcie, i jedynie dla tego że ułożyła to już sobie naprzedz wychodząc prosić doktora, aby ją kiedy odwiedził, i zapytał się czy może pomówić z panią Gunther. Może też od niej dowiem się co to wszystko znaczny, pomyślała sobie.

— Idź do niej, odpowiedział Gunther; odwrócił się i wziął książkę. Walpurga wyszła z pokoju.

W sieni zatrzymała się chwilę, zdało jej się że trapi ją jakiś sen niemiły. Czemuż jej pokazywały się jakby jakieś zebrawce? Czyż nie wiedzą że była mamką następcy tronu, a teraz jest właścicielką pięknej fermy? Duma odezwała się w duszy Walpurgi, postanowiła odejść nie widząc się z panią Gunther, i usta zdrząły jej z oburzenia, kiedy pomyślała o złem sercu osób zajmujących wysokie stanowisko. A jednak tyle dobrego mówią o tym domu, ona sama przedstawiała jego mieszkańców jako wzór cnoty i świętobliwości.

Wyszła z domu, lecz w ogrodzie spotkała panią Gunther, która cofnęła się spostrzegłszy Walpurgę.

— Widzę że mnie pani nie poznaje, rzekła wieśniaczka, wyciągając do niej rękę.

— Przeciwnie, doskonale poznaje, odpowiedziała żona doktora. Skąd przychodzisz?

— Z mojej fermy, gdyż teraz jestem właścicielką

wolnej fermy; i gdybyś pani mnie odwiedzała nie trzymałabym cię przed drzwiami domu, ale powiedziałabym uprzejmie: Proszę wejść.

— Lecz ja tego nie powiem, odrzekła pani Gunther; nie chciałabym być niegrzeczną nawet dla osób postępujących nagannie, ale też nie myślę zapraszać ich do siebie.

— Postępujących nagannie? A cóż ja złego zrobiłam?

— Nie jestem twoim sędzią.

— Bóg jest moim sędzią, a prócz tego pozwalam każdemu sądzić moje postępowanie i proszę powiedzieć mi, czem tak zawiniłam.

— Nic mnie do tego nie zmusza, powiem ci jednak, że kiedyś zdasz rachunek przed Bogiem z tego co uczyniła, aby pozyskać pieniądze na kupno twojej pięknej fermy. Bądź zdrowa!

Pani Gunther weszła do domu, Walpurga pozostała sama. Zdawało jej się że domy, góry i drzewa koło niej tańczą, a twarz jej zalała się łzami.

IV.

Walpurga wracała do domu smutna i ciężko upokorzona, a wyjeżdżając czuła się tak szczęśliwą i dumną! I nie dziw, żadna właścicielka fermy nie mogła się poszczycić piękniejszym ekwipażem. Białe żrebiec dar Józefa Fosses, wyrosło na ślicznego konia. Franciszek dawny kirassyer, wytresował go dobrze, i teraz zaprzężono go do karyolki. Piękne zwierzę, zdawało się z zadowoleniem spoglądać na swą właścicielkę, kiedy trzymając Burę za rączkę, swą wyszła przed dom ubrana w świąteczne suknie. Jan dopomógł żonie wsiąść do karyolki, i posadził przy niej dziecko.

— Wracaj zdrowa i wesola, rzekł do Walpurgi, a ty Franciszku, pamiętaj o koniu.

— Bądźcie spokojni, odpowiedział Franciszek, karyolka ruszyła, a koń biegł tak lekko, jakby nie ciągnął żadnego ciężaru.

Jan spoglądał czas jakiś za żoną i dzieckiem, a odchodząc do roboty, przyjaźnie pozdrowił Irmę stojącą w oknie. Walpurga odjeżdżając, położyła rękę na sercu, jakby chciała powstrzymać radośne jego uderzenia. Cieszyło ją że potrafiła tak zręcznie odwrócić od Irmy wielkie niebezpieczeństwo, i nie dała jej nawet poznać że ją coś niepokoi. Irma nie myślała się mniemając, iż Walpurga stara się nakłonić ją aby lato przepędziła w większej jeszcze samotności, gdyż jeszcze w zimie Stazja doniosła swęj przyjacielce, że mąż jej dowiedział się od nadleśnego, że król w czasie lata ma przyjechać do miasteczka. Obecnie zaś dowiedziała się, że naprawiają drogi i urządzają wszystko na jego przyjęcie, ale nie obawiała się już niczego gdyż Irma miała nazajutrz zamieszkać chatkę na Almie.

Trzeba było dokupić jeszcze trochę naczyń stołowych, które Irma i Gundel miały zabrać z sobą.

Jan zezwolił, aby żona pojechała po nie do miasteczka, w którym mieszkała Stazja, chociaż można było kupić je znacznie bliżej. Walpurga wyjechała więc z domu spokojna i wesola, i przejeżdżając przez sąsiednią wioskę przyjaźnie pozdrowiała każdego, kogo spotkała na drodze.

— Chciałbym bardzo, odezwał się Franciszek, abyśmy wszyscy jak tu jesteśmy, razem z naszym białym koniem, mogli się przenieść na chwilę do wioski nad jeziorem. Jakżeby nam się wszyscy przyglądali.

Franciszek słusznie był z siebie zadowolony; ubrał się z niezwykłą starannością, a na twarzy jego malowała się szczerza radość, gdyż postanowił kupić w mieście srebrną obrączkę, którą dziś jeszcze włoży na palec swęj kachanej Gundel.

— Masz słusność, odpowiedziała Walpurga, ale za prędko jedziemy, koń młody może się zmęczyć zbyt. Śliczny dzień mamy. Patrz, wiśnie jeszcze tu nie kwitną, a to drzewko które Jan posadził u nas przed oknami, już wczoraj pokryło się kwiatem.

Kiedy zbliżali się do miasteczka, Franciszek, znający dobrze miejscowość, zawołał: strumień który tu płynie, bierze początek w skałach, tuż przy naszej Almie. Walpurga uśmiechnęła się na myśl, że w jej posiadłości wytryska źródło którego wody toczą się tak daleko.

Stazja ucieszyła się szczerze przybyciem przyjaciółki, obsypała ją pochwałami, a w końcu oświadczyła, że sam król mógłby pozazdrościć Janowi; tak

pięknego konia, tak zręcznego służącego, tak ślicznej córeczki i tak dobrej żony. Gdziekolwiek wyszła ze Stazją, robotnicy pracujący około naprawy dróg i mostów, porzucali robotę aby się przypatrzeć bogatej wieśniaczce i jej małej córeczce, zupełnie do niej podobnej, i ubranej, jednakowo jak matka.

Stazja przyrządziła doskonały obiad, a Walpurga przywiozła jej znaczny zapas jaj i masła.

W biurze męża Stazji, podwładni jego klaniali się Walpurdze, jak gdyby była królową.

Kiedy obiedwie wyszły za sprawunkami, Walpurga chcąc okazać iż wie do czego ją obowiązuje terazniejsze położenie, wybierała wszystko co było najlepsze, i nie bardzo się targowała.

Wracając do ratusza, w którym mieszkała Stazja Walpurga dowiedziała się że doktor Gunther już przeszedł trzy lata mieszka w miasteczku.

— Ależ to mój najlepszy przyjaciel! zawołała z radością, zostawiła dziecko przy Stazji i pobiegła do Gunthera. Serce jej silnie biło ze wzruszenia, i musiała zatrzymać się przed domem aby się uspokoić trochę. Można sobie wystawić, jakie wrażenie uczyniło na niej tak niespodziewane przyjęcie.

Wróciwszy do przyjaciółki, nie śmiała prawie spojrzeć na nikogo, a najwięcej to ją martwiło że właśnie powiedziała Stazji, że doktor był jej najlepszym przyjacielem. Kiedy pytano jej o czem rozmawiała z Guntherem, nie wiedziała jak się z tego wykręcić, i po chwili dopiero odpowiedziała: Nie pytajcie mnie o to, gdybym chciała powtórzyć wszystko co mi tam powiedziano, chyba nie skończyłabym dzisiaj, a muszę zaraz wybierać się w drogę aby za dnia wrócić do domu.

Pochwały, jakimi Stazja z mężem obsypywali Gunthera i jego rodzinę, co raz więcej zasmucały Walpurgę. Nie śmiała wyznać jakiego doznała przyjęcia, — otóż to, — pomyślała sobie, „jakiego doznajemy zawodu, jeżeli zbyt na kogo liczymy.“ Kiedy wyjechała, Stazja z mężem długo rozmawiała o kapryśnym i zmiennym usposobieniu Walpurgi, a ona jednocześnie cieszyła się że przecie uwolniła się od obecności swych przyjaciół. Przyszły jej wtenczas na myśl słowa stariej Beaty, których przed tem prawie zapomniiała.

— O! miałaś słusność, kochana matko, mówiąc że wszystko na tym świecie trzeba opłacić. Ja teraz płacę za to złoto które otrzymałam, i doprawdy drogo mnie ono kosztuje.

Wzięta córeczkę na kolana i uściśkała ją serdecznie, jakby w jej pieszczotach szukała pociechy; dzieczenka, zasnęła wkrótce, oparłszy główkę na łonie matki. Walpurga uspokoiła się trochę, chociaż w duszy czuła smutek i lękała się o przyszłość. Dawniej, kiedy znosiła prześladowania mieszkańców swęj rodzinnej wioski, pocieszała się myślą że jej ubliżają ludzie prości, bez żadnego wychowania; teraz, czemuże się pocieszy? Czy ostatni raz doznała takiego upokorzenia? Do kogoż uda się po radę, skoro matka nie żyje, a Jan i Ermengarda nie powinni o tem wiedzieć.

Zmrok już zapadał kiedy zbliżała się do domu; wtenczas zwracając się do otaczających ją gór i lasów wyszeptala: Biorę was za świadki, że nigdy nie dopuściłam się naganego czynu dla pozyskania pieniędzy, ale niechże już ten zarzut ciąży na mnie aż do śmierci mojej lub Irmy, gdyż tym sposobem zachowam tajemnicę, uchronię się od niepokojących odwiedzin, i dobra nasza Irma, będzie mogła spokojnie żyć na Almie. Nie chcę przysparzać jej cierpień; już i tak ma dość zmartwienia.

Pokrzepiona tą myślą, śmieliej weszła do domu, i mówiła z Janem tylko o swęj bytności u Stazji; wiedziała dobrze, że gdyby uwiadomiła męża, jak ją przyjęto u doktora, to z pewnością pośpieszyłby do miasteczka aby się ująć za nią.

— Dotąd wszystko znosiłam sama, niech więc i nadal tak będzie, pomyślała sobie.

Walpurga miała nad sobą tyle mocy, że potrafiła ukryć swęj smutek przed Irmą i mężem, a nawet zdawała się być bardzo ucieszona radością z jaką Burga przyjęła drewnianego konia, którego dla niej kupiła w mieście.

V.

Wieczorem czyniono przygotowania do przeprowadzenia. Jan szczególnie był bardzo zajęty, prócz innych zatrudnień, próbował co chwila dzwonek. które miano nazajutrz przywiązać krowom do szyi. Dźwięk ich szczególną sprawiał mu przyjemność,

gdyż kupił doskonale zgadzające się z sobą; nawet Irma je pochwaliła, kiedy w ciągu dnia przy niej próbował ich głosu.

Janowi dziwnem się zdawało, że cały dzień ma przepędzić sam jeden z Irmą. Przy obiedzie była tak miłą i wesołą, że Jan pomimowolnie spoglądał na nią z nie zwykłym zajęciem, i nie wiedział że wszystko co myśli można wyczytać z jego twarzy. Kilka razy chciał prosić Irmę aby mu odkryła swą tajemnicę, i zdjęła tę białą opaskę z czoła, gdyż raz już chciałby się dowiedzieć do jakiego rzędu istot zaliczyć ją trzeba. Po obiedzie, miał zamiar odprowadzić Irmę do jej pracowni, i tam jeszcze porozmawiać z nią chwilę, ale zatrzymał się nagle, i udał się do oberży; tam, wszedłszy w kącik, aby go nikt nie zobaczył, tak silny wyciął sobie policzek, że aż iskry posypały mu się z oczu.

Wymierzył sobie karę za myśl, którą zaledwie samemu sobie wyznać się ośmielił, a następnie ukląkł na pęk słomy prosząc Boga aby mu przebaczył, i wstał zupełnie uspokojony.

Służący nie mogli pojąć czemu Jan w tym dniu był tak łagodnym i czemu z taką dobrocią wydawał im rozkazy. Jednak po powrocie Walpurgi, cieszył się że krótko z nim mówiła i odeszła do swych zatrudnień.

(d. c. n.)

O UBIORACH.

Po powrocie panien Kuhnke z Paryża, magazyn ich zaopatrzony został w najświeższe modele kapeluszy, kanzutów, kołnierzyków i innych drobnostek służących do ubrania damskiego. Wszystkie te przedmioty wybrane zostały z tak pięknym gustem, z tak wielką rozmaitością, że zadowolnić mogą wszelkie żądania choćby najbardziej wyszukane, troskliwej o strój swój elegancji.

Nowych fasonów kapeluszy jest mnóstwo, są pomiędzy nimi zarówno okrągłe jak wiązane, ubrane po większej części kwiatami, z tak ładnym nasładowaniem prawdziwych, że dość nadziwić się nie można jak w nich sztuka czasami przewyższyła naturę. Aksamit różno kolorowy, atlas w cienie i batyst, są głównymi materiałami, z jakich te piękne wyroby uskutecznione zostały, a przypatrując się im, mimowoli obudza się żal, że zmuszeni jesteśmy sprawdzać je z tak daleka, że przemysł tak korzystny dotąd u nas nie został jeszcze rozwinięty.

W tym roku więcej niż kiedykolwiek panienki nosić będą okrągłe kapelusze. Widzieliśmy kilka modeli z aksamitu czarnego, wszystkie w ogóle bardzo małe. Jedne w formie okrągłej czapeczki, zwane *Sultanne*, obłożone są w koło piórem, czyli tak zwanym *plumazem*, albo futerkiem, lub nakoniec barankiem astrachańskim. Inne zwane *Marie Antoinette*, całe naszyte marszczoną koronką, podpięte kwiatami, albo gronem jagód. Szeroki koniec spada z tyłu na włosy.

Ładny też kapelusik aksamitny zwany *Cécile*, w formie małego czółenka, z jednej strony wpięta kokarda atlasowa, z drugiej mała papuzka z długim piórem pasowym.

Kapelusze okrągłe robią z aksamitu, pluszu, filcu i rypsu jedwabnego.

Podobały nam się też bardzo, fanszoniki przeznaczone dla panienek, złożone z buffy aksamitnej czarnej; z obu stron téj buffy, od twarzy i od warkocza, przechodzi ruszka z materji strzyżonej w ząbki, w kolorach różowym, niebieskim, lilla i t. p. Z tyłu nie zbyt szeroka wstążka, służy do przywiązania kapelusika pod warkoczem, inne wstążki związują się pod brodą.

Śliczny był także fanszonik niebieski z niestrzyżonego aksamitu, podszyty takimże atłasem. Wypuszczona od twarzy falbanka z tegoż aksamitu, służy zarazem za podpięcie. Na samym wierzchu zdobi go wielka rozeta z niebieskiej wstążki atlasowej. Szarfy czarne koronkowe, przepięte mniejszą rozetą niebieską, dopełniają ładnie całości. Długie wstążeczki atlasowe niebieskie, wiążą się w tyle głowy.

Na kapelusze bardzo używany kolor niewarowy. Do ubrania ich nadzwyczaj modny aksamit, we wszystkich odcieniach koloru *nacarat*, aż do morderowego. Kapelusze tegoroczne w ogólności są małe ale nie równie wyższe nad czołem od zeszłorocznych. Cena kapeluszy u p. Kuhnke zaczyna się od rs. 7.

Kołnierzyki bardzo ładne w najnowszym rodzaju zwane są *col cravattes*. W koło szyi idzie stojący kołnierzyzek z podwójnego muszlinu, obszyty wąską walansienką, kołnierzyk ten podszywa się pod suknię. Główną jego ozdobę stanowią, szerokie końce naszywane wstawką i kwadracikami z walansienki, spadające na przód stanika. Rozmaita bywa forma tych końców. Do tego idą odpowiednio mankietki. W dzisiejszym dodatku znajdują się wzory i kroje takich kołnierzyków z żabotami.

Zwróciły też uwagę naszą krawatki z koronki Bruckelskiej, Valenciennes, i zupełnie nowój, zwanój *guipure Duchesse*, powszechnie dziś przyjęte w miejscu kołnierzyków.

Zasługują też na wzmiankę śliczne kanzuty i staniki białe muslinowe, do ubrania na wieczory lub do teatru — tak dla panienek jak i dla młodych mężatek.

Kanzut z muszlinu, przeszywany wstawką malinową, przybrany haftem. U szyi wykroj czworograniasty. Pasek do tego muslinowy, zakończony z tyłu takąż szarfą z szerokimi końcami, brzeg końców obszyty koronką.

Staniczek muslinowy Marie Antoinette, przybrany chusteczką przewiazaną z przodu.

Kanzut, zwany *Mantille Canzou*, przeszywany haftem i wstawkami, w koło ogarniowany koronką. Z przodu spadają końce przepasane szarfą z szerokiej wstążki, związaną w tyle na kokardę. Mantylkę tę można nosić i na wysokiej sukni.

Stanik muslinowy, naszyty z przodu w kwadrat haftem i koronką. Stanik ten może służyć pod otwartą suknią, lub też do kolorowej spódniczki. W ostatnim razie dodają się szelki, i szarfa odpowiedniego do sukni koloru.

O ubiorkach na głowę powiemy w następnym sprawozdaniu, dziś dodamy tylko że panny Kuhnke, zakupiły przesłiczne modele, tak na strojne wieczorowe suknie, jak również na zimowe kostiumy. Z tych modeli znaleźliśmy już wiele odwzorowanych sukien do wykwińskiej wyprawy, a między innymi:

Kostium *Camargo* z popeliny irlandzkiej koloru *café au lait*, ozdobiony materiałem tegoż koloru. Kostium *Watteau* z szerzy mienionej koloru rezedy. Kostium *Pompadour* z repsu sztywnego, koloru *vin de Bordeaux*. Strojna suknia z ciężkiej mienionej materji koloru *aurora* przybrana była blondyną i atłasem.

Suknia czarna aksamitna zwana; *Impératrice* odznaczała się niezwykłym gustem w kroju i ozdobach. Podobala nam się także suknia zarazem powłóczysta i krótka jako kostium na ulicę.

Panny Kuhnke mając obecnie powierzone cztery wyprawy do wykonania, przygotowały dla panien asystujących do ślubu sukienki tarlatanowe od 15 do 25 rs. bardzo świeżo i ładnie wykonane.

Widzieliśmy też nowe krynoliny, zastosowane do formy dzisiejszych sukien, à *Paniers*, oraz turniury, w kształcie starożytnych rogówek, odsadzające spódnice tak z tyłu jak po bokach, wszystkie w najnowszym kształcie.

Salopy znajdują się w kilku odmiennych fasonach, z których jednak gładkie paletotowe, otrzymują pierwszeństwo.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń na poszewkę. Kółka haftują się atłaskiem, kontury liści okrętką, zęby na brzegach dziergane.

N. 2 i 3. Kołnierzyk i mankiet na haft czarną bawełną ścięciem meksykańskim.

N. 4 i 5. Kołnierzyk i mankiet na haft atłaskowy. Można także szlaczek zastąpić wszywką gipiurową albo haftowaną, wyciąć płótno pod spodem i wyhaftować bukiet w środku, jak deseń wskazuje.

N. 6. Szlak na obrus kościelny. Aplikacja muslinowa na tiulu. Brzegi kwiatów i liści dziergane lub haftowane ścięciem sznurkowym.

N. 7, 8, 9. Deseń na wstawki i szlaczki do białej damskiej.

N. 10 do 14. Litera stosowne do szlaku na poszewki.

N. 15. Deseń na wstawkę.

N. 16. Alfabet do znaczenia chustek do nosa.

Opis stanika pod szyję ruszą garnirowanego, stanika z ranwersem, stanika z podłużnym wycięciem, stanika z okrągłym wykrojem i dwóch kołnierzyków z żabotami.

Stanik pod szyję, garnirowany ruszą.

N. 1. Przednia część stanika.

N. 2. Boczek.

N. 3. Połowa pleców.

N. 4. Rękaw.

N. 5. Całość stanika.

Stanik ten może służyć jako fason do rozmaitych lekkich i ciężkich materiałów, ubieranych aksamitem atłasem i t. p.

Przedstawiony model jest z zielonego „drap-argente” przybrany ruszami zielonej materji. Najpierw krajać trzeba, podług pomienionych form wszystkie części stanika z kartonu lub innej podszewki przypinając każdą formę, do kartonu na połowę złożonego; plecy które przy staniku na przodzie zapinanym, krajać się w całości, przykładają się brzegiem stanowiącym połowę, na składowej linii materiału. Przed krajaniami, najlepiej nakłuwać grubą igłą kontury form, w podwójnie złożonym materiale przez co powstaje rząd dziurek; dodając mniej więcej, po 2 cent. na zaszyvia i założenia, wykrawa się podług porobionych dziurek; u wykroju szyi, z przodu i u dołu stanika, dodaje się tylko 1 cent: materiału. Po fastrzygowawczy zaszewki na przodach, plecy licząc od dołu, podszywają się, w samym środku na długość 10 centymetrów płóciennym paskiem 1 centymetr szerokim, i fastrzyguje wszystkie osobne części, wzdłuż rzędu dziurek igłą porobionych przed krajaniami, i podług liczb odpowiadających. Tak doprowadzony stanik, należy przymierzyć, żeby poprawić niedokładności; wszystkie zeszyvia i brzegi zaszewek na zewnątrz powinny być podwracane. Należy przytem zauważyć, w których miejscach wypadają zaszyvia w miarę jak stanik potrzeba zacieśnić lub rozprzestrzenić, zaszewki w tym stosunku powinny być niżej albo wyżej porobione. Następnie wszystkie części stanika rozdzielają się przez poprocie fastrzyg, i zaszewek na przodach; każda część przyfastrzygowywa się gładko na materiale, który podług tego przykroić wypada z zachowaniem dodatków na zaszyvia porobionych, przy krajanii podszewki.

Podszywszy oba przody 4 cent. szerokim pasem wierzchniego materiału, dają się dziurki i guziki na przodach, poczem robią się zaszewki i łączą pojedyncze części stanika, tak zwanem „krytym ścięciem”. Po dopełnieniu tego, co ułatwiają odpowiadające wzajem litery, przyszywają się przed igłą w odstępie 1 cent. od szwów, brzegi pozostałe uważnie, żeby nieprzejmować wierzchu, i tak: brzegi pleców odwracając na boki, brzegi zaś boków przyszywając na przodach. Ponieważ jeden tylko brzeg wierzchni zapodszewkowywa się, znajdujący się brzeg pod nim, trzeba uciąć na szerokość 1 cent. bo by szew był bardzo gruby. W odstępach pozostałych z szwów stanika i zapodszewkowywanych brzegów, w zaszewkach przodów i pod tasienką przyszytą na długość 10 cent. w samym środku pleców, wsuwają się cieniutkie fiszbiniki opatrzone dziurkami i mocno zaszyte; ścięgi niepowinny na prawą stronę przechodzić. Wykroj szyi i doł stanika, wymagają wypustki. Na wypustkę, bierze się 2 cent. szeroki ukos wierzchniego materiału lub materji odpowiedniego cieniu, składa się go na dwoje, fastrzygując cienki sznurek wsunięty pod złożenie. Taką wypustkę przyszywa się za igłą tuż przed fastrzygą sznurka, na prawej stronie stanika, uważając żeby brzeg wypustki wystawał po nad stanikiem na długość pół cent., brzeg ten po lewej stronie stanika zapodszewkować należy, przez co ścięgi zostaną ukryte, a sznurek powleczone sznurkiem będzie formował sam brzeg stanika. Wykroj pachy, otrzymuje także wypustkę przyfastrzygowaną, której brzegi obcinają się równo z brzegami pachy, uważając aby końce wypustki, zachodziły jeden na drugi, przy bocznym szwie stanika na długość 1 centy. Spoiwszy rękaw, podług odpowiednich liter, wszywa się go w pachę, obrzucając gęsto brzegi. Nakoniec dopiero, dodaje się garnirunek.

Stanik pod szyję z ranwersem.

N. 6. Przód stanika.

N. 7. Mankiet.

N. 8. Całość stanika. Suknia z wyrobu wełnianego *épinglé* wiśniowego koloru z ranwersem i mankietami jedwabnymi, objętemi prostym paskiem, wierzchniego materiału. Podajemy tylko formy przodu stanika i mankiet, inne części przykroić się dadzą, podług formy N. 2, 3 i 4 tak szczegółowo opisanych, do stanika garnirowanego ruszą. Ze względu na dokładność tamtego opisu, i nie chcąc się powtarzać, uważamy bliższe objaśnienia za zbędne. Dodać jednak wypada, że kropkowana linijka na fig. 6 umieszczona, oznacza przyszywie ranwersu. Przyczepienie mankietów wskazuje rycina.

Stanik z podłużnym wycięciem.

N. 9. Przód stanika.

N. 10. Bufka do rękawa.

N. 11. Całość stanika z podłużnym wycięciem.

Stanik bardzo ładnie ubrany, przez podłużne wykrojenie wycinane w zęby tak u góry jak u rękawów. Bufka ozdabia rękawy przy ramieniu. Model nasz z czarnej materji, objęty jest w koło wyciętych zębów czarnym atłasem. Szmizetka podobnie podłużnie wycięta, dopełnia całości. Wykrojszy podług N. 9 po dwie części wierzchu i podszewki na przody, pozostałe części, krajać się podług form należących do N. 2, 3 i 4, i zeszywają tak, aby dobrze przypadły. Bufki, skrojone podług N. 10 w całości, wymagają uwagi przy wykroju pachy. Przykładając kropkę na krzyżyku, układa się ta część w fałdki, zeszywa od N do O razem, przyfastrzygowywa u górnego brzegu do rękawa i wszywa tak przygotowany rękaw w otwór pachy. Kokardy dodają się podług rycin.

Stanik z okrągłym wykrojem.

N. 12. Przednia część stanika.

N. 13. Całość stanika z okrągłym wykrojem.

Model ten z mienionej materji, ma okrągły wykroj, otoczony jedwabną bufką. Trzy mniejsze bufki, każda przytwierdzona rulonikiem wierzchniego materiału, ubierają rękawy, także rulony dane przy wykroju szyi. Krajać należy podług N. 12 dwie części z wierzchu i podszewki, stanowiące przody, pozostałe części krajać się podług fasonu N. 2, 3 i 4 przeznaczonego do stanika garnirowanego ruszą. Odsyłamy również, do poczynionych tamże objaśnień. Kokarda zakończy wykroj stanika na przodzie. Szmizetka dopełniająca go, powinna być taka, jak w ogóle przy wyciętych na przodzie stanikach.

Kołnierzyk stojący, z żabotem.

N. 14. Część żabota, do kołnierzyka stojącego.

N. 15. Całość kołnierzyka z żabotem.

Kołnierzyk składa się z 2 cent. szerokiego paska muszlinu, podwójnie złożonego, który oszywa się 2 cent. szeroką walansienką. Każda część żabota potrzebuje 5 patek muslinowych, skrojonych, podług N. 14 zmarszczonych u górnego brzegu, a dalej oszytych 1 cent: szeroką koronką. Wszystkie przyszywają się, do prostego muslinowego paska żaby górna patka, przykrywała przyszywie następną. Kokardy z niebieskiej atłasowej wstążki uzupełniają całość ozdobnego żabota.

Kołnierzyk stojący z żabotem.

N. 16. Połowa żabota.

N. 17. Całość żabota.

Żabot należący do tego kołnierzyka, jest piękny a prosty. Kołnierzyk sam, stojącą formą, robi się z 1 cent: szerokiej wszywki koronkowej i 2 cent: szerokiej koronki. Na żabot, krajać trzeba, podług N. 16 z nanzuku, lub muszlinu po dwie równe części, po dwójnie składając materiał wzdłuż linii składowej, poczem dopiero formą, przykładają się, żeby wypadła ukośno. Brzeg każdej części, oszywa się wszywką i koronką jak u stojącego kołnierzyka. Kokardy z różowej wstążki, dają się podług wskazówek rycin.

Kołnierzyki takie z żabotami znajdują się w magazynie p. Kuhnke od 4 do 6 rs.

Do numeru dzisiejszego dołącza się arkusz oznaczony N. 21 z krojami staników, kołnierzyków z żabotami, oraz z deseniami na haft biały.